Reforma Izby Panów.

Nie zamierzamy bynajmniej zajmować się tu istotą systemu dwuizbowego i jego uzasadnieniem, ani roztrząsać rozmaite formy, w jakich on się z biegiem czasu w różnych państwach przejawiał. Nie myślimy też badać szczegółowo roli i zadań Izb wyższych i wogóle arystokratycznych żywiołów w demokratycznych społeczeństwach, i dlatego nie pójdziemy śladem znakomitych autorów, którzy, jak August Cieszkowski[1]) i Aleksander Rembowski[2]) rozwijali świetne historyczno-filozoficzne na tę kwestyę poglądy i przedstawiali społeczno-polityczne warunki rozwoju i ustroju Izb wyższych. Nie będziemy też badać we wszystkich szczegółach i oceniać krytycznie genezy, powstania i składu austryackiej Izby Panów, jak to czyni dr. Michał Rostworowski[3]) w swej niedawno wydanej cennej pracy. Zamierzamy tylko omówić i ocenić w świetle ogólnych zasad i historycznych poglądów najnowszą reformę istniejącej Izby Panów, przeprowadzoną w r. 1907, oraz przedstawić różne inne projekta zreformowania jej, jakie się pojawiały w ostatnich czasach bądź to w literaturze, bądź w sferach

---

1) De la pairie et de l'aristocratie moderne, Paris 1844.

2) Izby wyższe i arystokracya nowożytna (Pisma Al. R. tom I. Kraków-Warszawa 1901, str. 1—68).

3) Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 740 sq., 813 sq., 901 sq.; 1900 str. 34 sq., 130 sq., 197 sq. i osobna odbitka).

rządowych i parlamentarnych. Reforma ta nie dotyczyła bynajmniej zakresu działania Izby Panów, — jak n. p. zamierzona reforma Izby lordów w Anglii — ani nie była wynikiem konfliktu z Izbą poselską — jak w Anglii, gdzie ten konflikt wybuchł z powodu liberalnej reformy szkolnej, i nie miała na celu osłabienia wpływu i zmniejszenia praw Izby wyższej — jak w Anglii — przeciwnie miała ją wzmocnić i wpływ jej utwierdzić.

Gdy tylko rząd austryacki zapowiedział wprowadzenie powszechnego a równego głosowania do Izby posłów, stało się rzeczą naturalną a nawet oczywistą, że równocześnie powinna doznać pewnej reformy także i Izba Panów; nie w tym celu, ażeby ją czynić podobniejszą do przyszłej Izby poselskiej i doprowadzać do pewnej harmonii ustrojowej pomiędzy obiema Izbami, ale w celu uczynienia z Izby Panów silnego i niezależnego Senatu, zdolnego stawić skuteczny opor różnym zbyt radykalnym projektom ustawy, mogącym napływać z Izby poselskiej jako owoce powszechnego a równego głosowania; ażeby wzmocnić stanowisko tej Izby, która winna oceniać wszystkie sprawy głównie z punktu widzenia interesu ogólno-państwowego i pewnej ciągłości, a więc zachowawczości i organiczności rozwoju;[1]) ażeby wreszcie wytworzyć w Izbie Panów silniejszą reprezentacyę tych interesów, które miały odtąd utracić ją w Izbie posłów, gdzie reprezentacye wielkiego rolnictwa i wielkiego handlu i przemysłu jako takie, zostały skazane na zniknięcie; tudzież aby uchylić główne wady dotychczasowego ustroju Izby Panów.

Do tych wad, które już niejednokrotnie podnosiliśmy,[2]) należy przedewszystkiem: *a)* że dzisiejsza Izba Panów nie daje żadnego wyrazu autonomicznej idei i autonomicznym podstawom ustroju państwowego i nie jest ani w drobnej nawet części t. zw. Izbą krajów, tj. reprezentacyą tych samodzielnych, historyczno-politycznych indywidualności, z których się składa państwo austryackie; *b)* że przy tworzeniu jej jest zupełnie wykluczoną droga wyborów; *c)* że ilość jej członków jest wogóle nieograniczoną; *d)* że specyalnie nieograniczona była dotąd liczba dożywotnich

---

[1]) Słusznie mówi członek Izby Panów, A. br. Berger: „Die Bedeutung des Herrenhauses könnte neben einem, aus allgemeinen Wahlen hervorgegangenen Abgeordnetenhause nur noch wachsen". (Die Wahlreform im Herzenhause, Fremdenblatt Nr. 344 ex 1906).

[2]) Patrz n. p. Starzyński: Studya z zakresu prawa wyborczego, Lwów 1897.

jej członków, mogących być każdocześnie powołanymi przez cesarza, i że wskutek tego mógł rząd swobodnie, wedle każdoczesnej chwilowej potrzeby politycznej zmieniać istniejącą w Izbie większość we własnym duchu, i albo paraliżować w ten sposób uchwały Izby poselskiej, albo też naodwrót uzyskiwać w Izbie Panów większość dla takich przedłożeń, przeprowadzonych przez Izbę poselską, dla których bez specyalnej nominacyi nowych parów nie byłby znalazł większości. Rzecz oczywista, że gdy rząd peryodycznie uzupełnia Izbę Panów większą ilością członków, czyni on to w duchu własnego programu; i tak też czynić powinien; — ale z drugiej strony chodzi o to, ażeby zapobiedz powoływaniu do Izby Panów nowych członków całkiem dowolnie, dla pewnej chwilowej praktycznej politycznej potrzeby *ad hoc;* gdyż podobne postępowanie musiałoby doprowadzić do zaniku politycznej niezawisłości a przez to i politycznego wpływu Izby Panów, tudzież do zepchnięcia jej ze stanowiska równorzędnego z Izbą poselską na stanowisko czynnika o formalnem raczej znaczeniu.[1]) Jeżeli zaś takie obniżanie roli i znaczenia Izby Panów byłoby pożałowania godnem już w dotychczasowych stosunkach, to o ileż bardziej pożałowania godnem a nawet niebezpiecznem byłoby ono obecnie, kiedy wskutek zmiany prawa wyborczego do Izby poselskiej może się Izba Panów znaleźć coraz częściej w położeniu wypowiadania słowa rozstrzygającego w różnych poważnych sprawach i położeniach politycznych. „Denn das Staatsleben — mówi Horn l. c. str. 39 — wird dadurch (durch die Wahlreform) in rascheren Fluss kommen, und vor manche neue Situation gestellt werden, und das Herrenhaus müsste an Bedeutung wesentlich zurückgehen, wenn es unter diesen Umständen in der bisherigen Art seiner Wirksamkeit verharren wollte".

Zapowiadając reformę wyborczą na pamiętnem posiedzeniu Izby posłów z d. 28. listopada 1905 oświadczył wprawdzie ówczesny prezydent ministrów br. Gautsch, że równolegle z powszechnem głosowaniem do Izby posłów zamierza przeprowadzić także pewne nowe ukształtowanie *(Ausgestaltung)* Izby Panów, celem zapewnienia w niej silniejszej reprezentacyi interesów, wa-

[1]) Patrz n. p. najnowszą broszurę F. Horna: Das Herrenhaus; eine Studie und ein Vorschlag. Wien F. Deuticke 1906. Horn pisze, że nie można Izbie Panów oszczędzić zarzutu, „dass es sich seit einer Reihe von Jahren mehr als nöthig und als nützlich aus dem Staatsleben ausgeschaltet hat".

żnych dla całości państwa — ale nie dodał bynajmniej, jak sobie to nowe upostaciowanie Izby Panów wyobraża. Nie wyszedł z tej rezerwy i w Izbie Panów dnia 1. i 2. grudnia 1905 r. i ściągnął z tego powodu na siebie cierpką krytykę.[1]) Jeszcze głębszego milczenia przestrzegali i jego następcy w swych mowach programowych, ks. Hohenlohe dn. 16. maja 1906 (str. 1233 sten. prot.) i br. Beck dn. 8. czerwca 1906 (str. 1262 sten. prot.). Równocześnie jednak zaczęły się pojawiać w dziennikach i w sferach parlamentarnych różne pomysły, pochodzące rzekomo od osób „dobrze poinformowanych", tudzież kombinacye na temat oczekiwanego projektu reformy Izby Panów; starano się odgadnąć zamiary rządu, lub twierdzono, że je odgadnięto. Jeden z pierwszych mówił ówczesny przywódca niemieckiego stronnictwa ludowego, p. Derschatta, (dzisiejszy minister kolei żelaznych) przed wyborcami w Gleisdorf, i uznając reformę Izby Panów za organicznie związaną z powszechnem prawem głosowania, oświadczył się za oparciem tej Izby także na zasadzie wyboru, dokonywanego ewentualnie przez korporacye zawodowe, a zarazem za ograniczeniem kompetencyi tej Izby jedynie do zakładania „veto". W dzienniku *Brünner Tagesbote* ogłosił równocześnie sejmowy poseł br. Haupt projekt, o którym, o ile on dotyczy reformy Izby posłów, pisaliśmy już,[2]) a który konstruuje Izbę Panów z wirylistów (tych samych co dzisiaj), 65 delegatów sejmów krajowych, 89 senatorów wybieranych przez wielką posiadłość ziemską i 58 senatorów wybieranych przez wielki przemysł i wielki handel.

Delegatów wybieranych przez Sejmy krajowe rozdziela autor w sposób następujący: Galicya 15, Czechy 12, Austrya dolna 7, Morawia 6, Styrya 4, Austrya górna i Tyrol po 3, Karyntya,

[1]) Oświadczenie to brzmi (sten. protok. Izby posłów, str. 22322):

„Nie uszło uwagi rządu, że im bardziej oddali się ordynacya wyborcza do Izby posłów od dotychczasowej zasady reprezentacyi interesów, tem potrzebniejszą rzeczą będzie użyczyć pewnym interesom ważnym dla całości państwa, innego rodzaju ochrony. Dlatego zajmuje się rząd także pytaniem, czy nie byłoby dobrze, udzielić tymże interesom intenzywniejszej reprezentacyi przez odpowiednie urządzenie (Ausgestaltung) Izby Panów. O ile ta myśl dałaby się urzeczywistnić, okaże się dopiero wtedy, gdy się spróbuje nadać jej uchwytną postać".

[2]) Studya konstytucyjne tom pierwszy: Różne projekta reformy prawa wyborczego: Lwów 1907, str. 95—6.

Kraina, Dalmacya, Śląsk i Bukowina po 2, Salzburg, Tryest, Gorycya i Grodyska, Istrya, Vorarlberg po 1. Dla wyboru senatorów wybieranych przez wielką posiadłość ziemską pozostałby cenzus wyborczy ten sam, który miał poprzednio zastosowanie przy wyborach z tej kuryi do Izby poselskiej; dla wyborców z kuryi wielkiego przemysłu i handlu wymagałoby się od wyborców cenzusu najmniej 100 kor. opłacanego bezpośredniego podatku zarobkowego rocznie.[1]) Rozdział tych mandatów pomiędzy poszczególne prowincye miałby być przeprowadzony na podstawie skombinowania ilości wyborców w każdym kraju z wysokością opłacanego przez nich wszystkich podatku. Wreszcie proponuje br. Haupt, ażeby zarówno wybory ze Sejmów (o ile Sejm wybiera więcej niż jednego senatora) jak i wybory dokonywane przez obie wyżej omawiane kurye zostały urządzone wedle systemu proporcyonalnego.

Die Zeit przyniosła dnia 13. grudnia 1905 wiadomość, jakoby ówczesna przeciętna ilość członków Izby Panów miała zostać powiększoną o 120 i że nowe krzesła w niej miałyby przypaść przeważnie reprezentantom stolic krajowych, Izbom handlowym i przemysłowym, lekarskim, adwokackim i notaryalnym, tudzież organizacyom rolniczym. Do tego dodaje ten dziennik cierpką uwagę, że skoro już obecnie liczba wielkich posiadaczy ziemskich wynosi więcej niż $1/3$ część ogólnej cyfry członków Izby Panów, to po takiej reformie będzie wielka własność ziemska w tej Izbie wprost rządzić. W styczniu 1906 r. czytaliśmy znów w dziennikach, że rząd wniesie z pewnością w lutym w Izbie Panów projekt jej reformy, polegający na tem, iż oprócz mianowanych dziedzicznie i dożywotnio jej członków będą w niej jeszcze zasiadali marszałkowie krajowi i prezydenci Sejmów, burmistrze stolic krajowych, reprezentanci Izb handlowych, połowa tej reprezentacyi wielkiej posiadłości ziemskiej, która zostanie usuniętą z Izby posłów, reprezentanci stowarzyszeń zawodowych, ewentualnie jeszcze pewna ilość osób wybieranych przez Sejmy. Ogólna liczba członków tej Izby miałaby wynosić 340 do 350, z ograniczeniem ilości mianowanych członków do 140 i z pozostawieniem członkom Izby możności ubiegania się o mandat poselski. I rzeczywiście rząd miał podobny zamiar, gdyż dnia 17. stycznia 1906 odbył br. Gautsch poufną konferencyę z przywódcami grup Izby

---

[1]) Ein Vorschlag zur Wahlrechtsfrage. Separatabdruck aus dem Tagesbote aus Mähren u. Schlesien; 1905.

Panów, zaś dnia 22. stycznia odbyły się plenarne zebrania wszystkich trzech grup, celem wysłuchania sprawozdania przywódców i powzięcia pewnych uchwał. Na tych posiedzeniach dowiedziały się grupy Izby Panów, że rząd zamierza zaproponować projekt ustawy, utrzymujący dotychczasowych członków wirylnych Izby i dziedzicznych jej członków bez zmiany, zawierający powolne ograniczenie liczby członków mianowanych dożywotnio, do pewnej maksymalnej cyfry, tudzież wprowadzający do Izby Panów pewne nowe czynniki, a mianowicie te same, które dopiero co wyżej wymieniliśmy.

Natomiast sprzeciwił się br. Gautsch stanowczo obsełaniu Izby Panów wyłącznie przez Sejmy krajowe, tak ażeby ona miała się stać rodzajem „Izby krajów“ *(Länderkammer)*, a uzupełnianie jej przez wybory z korporacyi zawodowych uznał za niepraktyczne.

Propozycya rządu nie spotkała się jednak z życzliwem przyjęciem. Wszystkie grupy Izby Panów odrzuciły ją, zastrzegły wzięcie inicyatywy w reformie Izby Panów dla siebie samych, zapowiadając, iż we właściwym czasie wniosą sami członkowie Izby Panów odpowiednie projekta ustaw, — zastrzegły się przeciw łączeniu reformy jednej Izby z reformą drugiej Izby oraz przeciw temu, by Izba Panów miała się odtąd stać przytułkiem czyli *„Salon des refusés“* jak się nieco złośliwie wyraził hr. Leon Piniński, dla żywiołów, nie mogących znaleźć już miejsca dla siebie w Izbie posłów.[1])

Wobec powyższego negatywnego, a naszem zdaniem rzeczowo nieuzasadnionego stanowiska Izby Panów rząd zaniechał wszelkiej jej reformy, dążąc jednak coraz bardziej stanowczo do reformy Izby posłów.

Pomimo to jeszcze w grudniu 1906 r. pojawił się projekt, reformujący Izbę Panów przez dodanie do jej dotychczasowego

---

[1]) Patrz o tem dr. Michał Rostworowski: Reforma Izby Panów (Przegląd polski z lutego 1906, str. 347—350) i całą prasę peryodyczną z drugiej połowy stycznia 1906 r., tudzież co do numerus clausus z grudnia 1906, między tem artykuły: Inama-Sternegg: Die Politik des Herrenhauses (N. fr. Presse z 16. grudnia 1906); Wilhelm bar. Berger: Der Umschwung in der Stimmung des Herrenhauses (tamże, dnia 20. grudnia 1906), Ludwik br. Oppenheimer: Die Wahlreformkommission des Herrenhauses (tamże 21. grudnia 1906). Präsident Dr. Emil Steinbach über die Wahlreform (tamże, 18. grudnia 1906).

składu: *a)* marszałków krajowych i prezydentów sejmów, *b)* burmistrzów niektórych stolic krajowych, *c)* rektorów Uniwersytetów. *d)* prezydentów Izb handlowych. Pojawiały się także wiadomości w dziennikach, że wszystkie 85 mandatów wielkiej posiadłości ziemskiej zostaną przeniesione do Izby Panów; a rząd nawet temu nie zaprzeczał.

Oprócz tych i innych projektów, stawianych przez polityków praktycznych, lub projektów rozważanych w sferach parlamentarnych, rządowych i dziennikarskich, pojawiła się jeszcze przed wniesieniem projektu reformy wyborczej spora ilość projektów teoretycznych, łączących reformę Izby Panów z całą wielką akcyą przekształcenia konstytucyi w celu sanacyi parlamentaryzmu w Austryi i uchylenia groźnego przesilenia wiszącego nad państwem już od r. 1897. Dr. Oskar Streinz,[1]) o którym już wspominaliśmy na innem miejscu, chce usunąć z Izby Panów wszystkich członków dziedzicznych i arcyksiążąt, a złożyć ją jedynie z mianowanych dożywotnio członków, powołanych na podstawie ich wybitnego wykształcenia i pewności ich charakteru. E. W. Zenker,[2]) przeprowadzając zupełny rozdział kompetencyi pomiędzy obiema Izbami i odbierając wogóle Radzie Państwa bardzo znaczną część ustawodawstwa, chce postawić w miejsce Izby Panów „Izbę polityczną“, wychodzącą z powszechnego a równego głosowania, z kompetencyą ograniczoną do spraw politycznych i konstytucyjnych. Alfred br. Offermann[3]) skrytykowawszy skład Izby Panów i nazwawszy ją „historycznem i prawno-państwowem nieporozumieniem“ proponuje przeprowadzenie jej reformy w ten sposób, by najpierw wprowadzić do niej także wszystkich członków utworzyć się mającej Rady Stanu w liczbie około 200, (a złożonej z wysokiej biurokracyi, prezydentów sądowych, praktycznych specyalnie uzdolnionych ludzi, wyższych wojskowych i wybitnych parlamentarzystów), a następnie usunąć z niej powoli członków dziedzicznych w ten sposób, by nowych takich członków już nie mianować. Tej Izbie Panów chce autor poruczyć całe ustawodawstwo niejako monopolicznie, usuwając od współudziału w niem Izbę posłów, natomiast wyklucza Izbę Panów od współ-

---

[1]) Gedanken über eine Verfassungsreform in Oesterreich, Graz 1905; str. 58, 60, 76.

[2]) Die Reform des Parlamentarismus, Wien 1902.

udziału w uchwalaniu budżetu.[1]) Dr. Franc. Hauke[2]) oświadcza się za ograniczeniem liczby dożywotnio powoływanych członków i uważa to za wielki błąd, gdyby powoływanie przez Koronę do Izby Panów miało być jedynie środkiem taktyki politycznej, a odrzuca zapatrywanie, jakoby w tem prawie Korony należało się dopatrywać środka do rozwiązywania konfliktów Izby posłów z Izbą Panów.[3])

„Były poseł do Rady Państwa“ poleca, dla zadośćuczynienia historycznym pretensyom krajów koronnych do obsełania Rady Państwa, by przyznano Sejmom krajowym prawo wyboru członków Izby Panów i to z własnego grona.[4]) Równocześnie doradza zatrzymać dotychczasowych członków dziedzicznych tej Izby, a ograniczyć ilość członków dożywotnich i wprowadzić ilość tych ostatnich w pewien cyfrowy stosunek do liczby członków nowej kategoryi, tj. wybieranych. Nie jest tylko jeszcze zdecydowany, czy każdy kraj miałby wybierać ilość członków Izby Panów równą, czy też zastosowaną do liczby ludności kraju; i waha się pomiędzy przykładami dostarczonymi w tej mierze przez Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Szwajcaryę, austryacki projekt kromieryski z r. 1849 i austryacką konstytucyę z r. 1849.

A gdy później stało się wiadomem, że rząd występuje rzeczywiście z powszechnem prawem głosowania, ale ogranicza się do reformy samej Rady Państwa, nie łącząc jej z przekształceniem całej konstytucyi, ograniczyli się i projektodawcy przeważnie do kwestyi reformy ustroju samego parlamentu, jakkolwiek niektórzy z nich, n. p. A. Popovici, o którym niżej będzie mowa, sięgali mimo to aż do samych podstaw urządzeń państwowych, chcąc je z gruntu przeobrazić. Niejaki J. Barolin[5]) odrzuca wogóle Izbę Panów, stawiając w miejsce dzisiejszej dwuizbowej Rady Państwa parlament złożony z jednej Izby uchwalającej (Izba prawodawcza

---

[1]) Die verfassungsrechtliche Vervollkommung Oesterreichs, Wien 1899, s. 48, 92, 107—116.

[2]) Ueber einige Fragen des Parlamentsrechtes. Czernowitz 1901.

[3]) Poglądy tych czterech autorów na parlamentaryzm i prawo wyborcze streściliśmy w „Studyach konstytucyjnych“ j. w. str. 28—50.

[4]) Das oesterreichische Parlament und die Verfassungskrisis; Studie eines ehemaligen Abgeordneten, Wien, Manz 1901, str. 26, 27.

[5]) Wahl- u. Parlamentsreformvorschläge („Die Wage“ vom 13. Jänner 1906).

czyli polityczna) i z dwóch Izb doradczych (Izby reprezentującej gospodarcze interesa ludności i Izby kobiecej). Alfons hr. Mensdorff-Pouilly[1]) chce uzupełniać Izbę Panow przynajmniej częściowo przez „krajowe Izby Panów“, mające powstać w krajach koronnych równocześnie z wprowadzeniem powszechnego równego prawa wyborczego do Sejmów i mające otrzymać prawo wyboru względnie prezentowania pewnej części członków Izby Panów. Prof. Michał Rostworowski l. c. str. 349 chce przekształcić Izbę Panów wyłącznie w Izbę krajów, obsyłaną w całości przez Sejmy, podobnie jak wedle konstytucyi z 4. marca 1849 r., względnie wedle projektu kromieryskiego z tegoż roku; o czem niżej. — Aurel C. Popovici w wydanej przez siebie przed dwoma laty obszernej książce (nie mogę powiedzieć: wielkiem dziele)[2]) przekształca, jak już widać z tytułu książki, Austro-Węgry w jedno wielkie państwo związkowe, złożone z 15 skonfederowanych narodowych państewek (jednem z nich miałaby być Galicya Zachodnia, drugiem Galicya Wschodnia) i organizuje w tych nowych Stanach Zjednoczonych parlament związkowy dwuizbowy z Izbą Panów złożoną *a)* z pełnoletnich arcyksiążąt, *b)* arcybiskupów i biskupów różnych wyznań, *c)* rektorów Uniwersytetów, *d)* prezydentów Akademij Umiejętności, *e)* prezydentów Izb handlowych w miastach stołecznych, *f)* członków wybranych. Tę ostatnią kategoryę urządza autor w ten sposób, że z każdego państwa wysyła stan lekarzy, adwokatów, inżynierów, architektów, dyrektorów banków, gospodarzy wiejskich, nauczycieli szkół ludowych i średnich, urzędników i wreszcie dziennikarzy po jednym reprezentancie do Izby Panów na przeciąg pięciu lat; *g)* z członków mianowanych. Cesarz ma prawo powoływać znakomitych mężów, którzy się odznaczyli około państwa lub Kościoła, zasłużyli w armii, marynarce, około handlu, przemysłu, w umiejętności lub sztuce i t. p., dożywotnio do Izby Panów, bez ograniczenia liczby.

F. Horn w swej cytowanej już broszurze analizuje i potępia zarówno mianowanie dożywotnich członków Izby przez Koronę jak i wybieranie ich bądź to przez Sejmy, bądź przez wyborców

---

[1]) Was aber dann?... (Odbitka z „Konservative Korrespondenz“, Wien 1908.

[2]) Die Vereinigten Staaten von Gross-Oesterreich; politische Studie zur Lösung der nationalen Fragen und staatsrechtlichen Krisen in Oesterreich-Ungarn; Leipzig 1906.

wprost, a oświadcza się jedynie za przybieraniem nowych członków przez dawnych, czyli za kooptacyą, łącząc ją z oznaczeniem stałej liczby członków tej Izby wogóle, tak że w razie wakansów należałoby natychmiast przystąpić do uzupełnienia się aż do przepisanej ilości. Nie wiemy, czy autor ucieszyłby się, dowiedziawszy się, że jego myśl nie jest oryginalną, gdyż nie kto inny jak August Cieszkowski postawił właśnie tę tezę, iż Izba parów, będąc raz złożoną ze wszystkich illustracyi narodowych, powinna się potem rozwijać i uzupełniać sama drogą doboru, a szczegółowemu uzasadnieniu i rozbiorowi tej tezy poświęcił prawie całą wspomnianą już rozprawę;[1]) — to pewna, że Horn nie zna Cieszkowskiego, gdyż w przeciwnym razie nie byłby się odważył go zignorować.

Horn krytykuje też słusznie projekt członka Izby Panów, Gomperza, nie wymieniając go jednak.[2]) Gomperz żądał nie tylko numerum clausum dla dożywotnich członków wogóle, ale tak samo pewnych oznaczonych minimalnych ilości dożywotnich członków z każdej kategoryi korporacyi lub klas zawodowych, odgrywających wybitniejszą rolę w życiu państwowem. Słusznie pyta Horn, co się ma właściwie zyskać na tej drodze?

Członek Izby Panów, hrabia na Meranie oświadcza się za częściowem oparciem Izby Panów na wyborze, a to przez stworzenie pewnej kuryi wyborczej najwyżej opodatkowanych w państwie, któraby wysyłała do Izby Panów swych przedstawicieli. Uważa przy tem numerum clausum za nieodzowny warunek reformy.[3])

Najobszerniejszym a oraz najszczegółowiej umotywowanym jest projekt dra Dawida Rautera.[4]) Autor wychodząc z założenia, że każda instytucya winna być tak urządzoną, by skład jej dawał

---

[1]) L'aristocratie moderne, V. Nouveau principe, page 55—64. — Streszczenie i pełna wysokiego uznania ocena książki hr. Cieszkowskiego zajmuje prawie trzecią część cytowanej już pracy Al. Rembowskiego (od str. 48—68). — Wiadomo, że we Francyi myśl A. Cieszkowskiego przyjęła się po części i na czas krótki w r. 1875, i że dopiero ustawą z 9. grudnia 1884 r. usunięto senatorów kooptowanych.

[2]) Theodor Gomperz: Zur Reform des Herrenhauses (Oesterreichische Rundschau, Februar 1906).

[3]) Grazer Tagespost, Nr. z 2. grudnia 1906.

[4]) Das neue Herrenhaus in Oesterreich. Wien, Moritz Perles 1906.

rękojmię urzeczywistnienia przez nią jej celów, proponuje, by Izba Panów złożoną była z dwóch głównych kategoryi członków: *A)* stałych *B)* czasowych. Do pierwszej kategoryi mieliby należeć: *a)* pełnoletni członkowie domu cesarskiego, *b)* szlacheccy właściciele rozległych dóbr ziemskich, *c)* biskupi, *d)* członkowie mianowani dożywotnio. Do drugiej kategoryi należeliby członkowie wybierani: *a)* przez Uniwersytety, *b)* przez stan adwokacki, *c)* przez lekarzy, *d)* przez Izby handlowe i przemysłowe, *e)* przez wielką posiadłość ziemską, *f)* przez związki i stowarzyszenia rolnicze. Okres wyborczy miałby wynosić sześć lat, lecz co trzy lata miałaby ustępować z każdej grupy połowa, oznaczona losem.

A jakież cele i zadania wyznacza autor Izbie Panów? Rzecz dziwna, jak autor odpowiadając na to pytanie, miesza najsłuszniejsze zapatrywania i zasady ze skamieniałymi poglądami i płytkimi frazesami, niewytrzymującymi żadnej krytyki. Zupełnie trafnie wskazuje autor na Izbę Panów jako na czynnik, mający grać rolę pośredniczącą pomiędzy monarchą a Izbą ludową, unoszoną niekiedy gwałtownemi namiętnościami, dodając, że najzgubniejszą jest rzeczą, jeżeli monarcha postawiony jest sam i bezpośrednio oko w oko naprzeciw pełnej temperamentu Izby ludowej, gdyż wtedy nieraz z natury rzeczy musi czynić rozmaite ustępstwa wbrew własnemu lepszemu przekonaniu;[1]) trafnie uważa autor Izbę Panów za powołaną do chronienia wyższej kultury, do ochrony zawodów społecznych, wymagających wyższego wykształcenia *(die gelehrten Berufe)*, tudzież do strzeżenia interesów klas posiadających; zupełnie słusznie chce autor widzieć w Izbie Panów warownię tych wszystkich politycznych zasad, od których zależy istnienie i powodzenie całości państwa; — ale już przy wyliczaniu

---

[1]) Tę samą myśl wypowiada dr. Michał Rostworowski: Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 754) w następujących słowach: Pierwszem (niebezpieczeństwem) jest, aby ta Izba (poselska), złożona z wolnych i nieodpowiedzialnych deputowanych, powołując się na to, że... jest jedyną przedstawicielką ludu, nie nadużyła tej swojej swobody i swego wyłącznego prawa zastępstwa na szkodę interesów tegoż ludu i to w drodze uzurpacyi władzy, przekroczenia atrybucyi zakreślonych ustawą i zagrabienia w swe ręce funkcyi do niej nie należących. Gdy ma ona do czynienia tylko z exekutywą, monarchą czy prezydentem, możliwe zatargi doprowadzają albo do kapitulacyi exekutywy albo też do starć zbrojnych i wojny domowej, a stanowisko, jakie lud zajmie wobec tego zatargu, nigdy naprzód przewidzieć się nie da".

tych zasad nie umie się autor wznieść ponad przesąd o konieczności daleko idącej jednolitości w ustawodawstwie i we wszystkich gałęziach zarządu państwowego, chce postawić Izbę Panów na straży „niemieckiego charakteru“ państwa, które nawet wedle przyznania całego szeregu klasycznych świadków, t. j. różnych byłych prezydentów ministrów austryackich, nie jest państwem niemieckiem, chce przyznać w tym celu Izbie Panów prawo *veto* w sprawach narodowych i żąda wprowadzenia jednolitego języka państwowego niemieckiego.

Autor uważa dalej za potrzebne dać w Izbie Panów odszkodowanie tym wszystkim klasom zawodowym, które zostały wypchnięte z Izby poselskiej przez wprowadzenie powszechnego głosowania, specyalnie interesom lekarzy, obrońców prawnych, handlu i przemysłu, a pomnożenie i wzmocnienie Izby Panów wogóle uważa za konieczne, albowiem „wskutek reformy wyborczej wejdą socyaliści, klerykali i Słowianie w powiększonej liczbie do Izby poselskiej ze swymi potężnymi specyalnymi i separatystycznymi interesami“; trzeba więc uczynić Izbę Panów odporniejszą na punkcie obrony interesów państwowych.

Otóż do osiągnięcia powyższych celów ma służyć ten nowy skład Izby Panów, jaki autor proponuje, przyczem w pewnej może sprzeczności ze swym centralistyczno-liberalnym ogólnym poglądem, chce on, jak już widzieliśmy, obok dziedzicznych członków Izby Panów i obok jej wielu dożywotnich członków, wziętych z grona właścicieli dóbr ziemskich, wprowadzić jeszcze do Izby Panów i reprezentantów dawnej kuryi wielkich posiadłości ziemskiej, wypartych z Izby posłów i reprezentantów rolnictwa mniejszego i stanu włościańskiego, a to „w interesie wyższej myśli państwowej“ *(im Interesse des Reichsgedenkens)*.

Przedstawicieli Uniwersytetów miałyby wybierać Uniwersytety same, każdy po jednemu; razem tedy ośmiu. Wyboru dokonuje grono profesorskie.

Stan adwokatów i obrońców miałby mieć przedstawicieli dwudziestu, wybieranych wedle prowincyi państwa; na Galicyę przypada dwóch. W Czechach i na Morawii osobno wybierają swego przedstawiciela adwokaci Czesi, osobno adwokaci Niemcy; podobnież w Galicyi stanowią osobne ciało wyborcze adwokaci Polacy z całego kraju, osobne adwokaci Rusini.

Zupełnie tak samo urządzoną ma być reprezentacya stanu lekarskiego i w tej samej ilości.

Izby handlowe i przemysłowe wybierać mają 21 członków wedle dotychczasowej modły. Każda galicyjska Izba handlowa wybierałaby po jednym reprezentancie.

Wielkich właścicieli ziemskich dopuszcza autor dwudziestu trzech; „więcej nie można, gdyż mieściłoby to w sobie niebezpieczeństwo wytworzenia silnego stronnictwa autonomistycznego w Izbie“, którego autor boi się jak ognia. Na Galicyę wypada czterech przedstawicieli, z których dwóch mieliby wybierać polscy właściciele dóbr w Galicyi, dwóch zaś właściciele ruscy, podobnie na Morawii jednego właściciele niemieccy, jednego zaś czescy. Cenzus wyborczy ten sam, jaki obowiązywał wedle dawnego prawa wyborczego przy wyborach do Izby posłów z kuryi wielkich posiadłości ziemskich. W Czechach wybieraliby jednego przedstawiciela właściciele dóbr ordynackich, jednego właściciele dóbr wolno dziedzicznych Czesi, jednego wreszcie właściciele dóbr wolnodziedzicznych Niemcy.

Do wyboru przedstawicieli stowarzyszeń rolniczych chce autor powołać Towarzystwa gospodarskie, Rady kultury krajowej i t. p., wreszcie rolniczy centralny związek we Wiedniu jako wyborców. Członkowie tych związków i organizacyi dokonują wyboru, przyczem również cały kraj tworzy jeden okręg wyborczy. Autor spodziewa się otrzymać tą drogą reprezentacyę klasy włościańskiej, tworzącej, jak mówi, „najlepszą podstawę państwa“. — Na Galicyę przypada dwóch reprezentantów, przyczem znów, zgodnie ze swą zasadą rozdziału wyborców wedle narodowości, każe autor wybierać jednego z nich polskim a jednego ruskim członkom stowarzyszeń rolniczych z całego kraju. Na całe państwo przypada takich reprezentantów dziewiętnastu. W Czechach i na Morawii wybierają Czesi osobno, Niemcy osobno.

STANISŁAW STARZYŃSKI.

(Dokończenie nastąpi).

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

(Ciąg dalszy).

Z jednej strony spryt hrabiego Henryka, z drugiej pozory, zdające się potwierdzać prawdę słów jego, wywołały pożądany efekt: wprawdzie inni wycofali się zręcznie wcześniej czy później z sieci zarzucanych przez Rzewuskiego, lecz pozostał w nich najwybitniejszy w owe czasy działacz kresowy — Michał Grabowski, który, „usposobiony do otwartego wyjawiania myśli swojej", przed jednym z przyjaciół (najprawdopodobniej Janem Krechowieckim) wyrzekł wtedy w zapale charakterystyczne wielce słowa: „kosztem nie tylko reputacyi własnej, ale nawet zdrowia i życia, gotów jestem ponieść ofiarę dla ocalenia wiary i języka, tak mocno teraz zagrożonych".

I rozpoczęła się „tragedya" Grabowskiego.

Trudno nam w szkicu niniejszym obszerniej omawiać cel powołania do życia bałagulszczyzny. Myśl pierwotną wypaczono z czasem, bałagułów ośmieszono, podkreślając „furmańskie" zewnętrzne ich cechy, a nie umiejąc czy też nie chcąc zrozumieć idei takich przodowników, jak Kasper Maszkowski, dr. Antoni Beaupré, Leonard Łepkowski, dr. Jan Orzechowski i inni. To pewna jednak, że Rzewuski zrozumiał doskonale ukryte cele stowarzyszonej młodzieży, która z dniem każdym większy wpływ zdobywać zaczęła w szlacheckim świecie, berło opinii schwyciła w dłonie,

decydowała o kandydatach na rozmaite honorowe stanowiska. Zrozumiał — i nakłonił przedewszystkiem znakomitego krytyka do ostrego potępienia tych ekscesów; pozyskał w nim gorliwego obrońcę dla swoich osławionych „Mięszanin obyczajowych", które opinia publiczna ochrzciła mianem złośliwego paszkwilu. I stał się fakt, iż pozornie „słusznie pomawiać zaczęto Grabowskiego o współwinę w tym ohydnym pamflecie, nie zważając, że w rzeczywistości różnica stanowisk obu pisarzy była ogromną. Rzewuski negował przyszłość, Grabowski chciał ją mieć inną, niż emigracya. Że nie potępił rozkładowej teoryi przyjaciela i nie zerwał z nim na zawsze, zawiniły tu może owe tajemne nici osobistej sympatyi, której korzenie sięgały gdzieś w głąb duszy krytyka". [1])

Zrazu co prawda i Kraszewski załapał się: poznawszy ten utwór w rękopisie, nie zgłębiwszy należycie tendencyi jego, pchnął do *Tygodnika Petersburskiego* (1841) artykuł, w którym nazwał „Mięszaniny" „przewybornym zbiorem najświeższych, najśmielszych i najżywszych myśli, tudzież najżywszych, pełnych dowcipu obrazków". Usłyszawszy okrzyk oburzenia, cofnął się i — jak to już zanotowaliśmy wyżej — odskoczył od towarzystwa Rzewuskiego i Grabowskiego. Z kolei jednak przyszło zastanowienie a z niem poczucie krzywdy wyrządzonej wszechwładnemu jeszcze „rozdawcy godności literackich". Świadectwem tej ewolucyi słowa listu autora „Starej baśni" do jednego z przyjaciół: „...realnie, rozpatrzywszy się w zasadach Grabowskiego, niepodobna nie widzieć, że one dążyły do rezultatów takich, jakie przyjął za swoje w Bejle, śmielszym tylko od niego w posuwaniu się do ostatecznych wniosków. Ale z tem wszystkiem, gdy Rzewuski jest człekiem dowcipnym, zręcznym, miłym gadułą, sofistą niepospolitym, a razem zebrawszy człekiem bez zasad i przekonań: Michał Grabowski, choć jednej z nim myśli, najsumienniejszy, najpoczciwszy, najstalszy w swym raz powziętym systemacie, który ma za jedynie dobry. Ten zręczny tylko sztukmistrz, drugi sumienny apostoł: jednemu o rehabilitacyę, illustracyę imienia, o rozgłos, a może i o wzniesienie się bylejakie chodzi; drugi (zda mi się) goreje żądzą dobra powszechnego i zapałem szczerym ulepszenia swych braci." [2])

[1]) Dr. Tadeusz Grabowski j. w. str. 54.
[2]) Piotr Chmielowski: „I. J. Kraszewski", str. 130—132.

Na razie więc załatano pozorną harmonię. Nawet z Rzewuskim był Kraszewski „zimno, ale dobrze przynajmniej na oko“. Dopiero dalszy krok naprzód w polityce polsko-rossyjskiej, zainicyowany przez Rzewuskiego, zaognił krwawiącą od pewnego czasu ranę.

* * *

Grabowski pragnął od dawna posiąść organ, któryby kształcił według zakreślonego przezeń planu inteligencyę polską. Z czasem zagarnął do swego programu i inteligencyę rossyjską... to go pogrzebało. Wszak już 15. grudnia 1839 r. donosił Bohdan Zaleski Adamowi Mickiewiczowi: „Mój Michał Grabowski niesłychanie czynny. Drukuje a drukuje wciąż... A czem najwięcej mnie uradował, to że wydaje dziennik w Kijowie. Pierwszy to dziennik ukraiński polski!“ A pod tą samą datą pisał do kolegi humańskiego, Seweryna Goszczyńskiego: „A cóż, czy nie zuch nasz Michał? Pan Redaktor pierwszego ukraińskiego polskiego dziennika? Niesłychanie się tem raduję, bo Ruś rozrucha się trochę do pisania i czytania po polsku. Szczęśliwa myśl bardzo i zdaje się, że Michał pojmuje doskonale całą jej rozciągłość i wagę. Jestem niemal pewny, że podoła ciężarowi... najchętniejbym pomógł Michałowi, ma się rozumieć pod cudzem nazwiskiem.“ [1])

Daremnie atoli wyczekiwał Zaleski nadesłania bodaj kilku numerów dziennika ukraińskiego polskiego. Projekt wydawania tego rodzaju pisma nie wkroczył w krainę rzeczywistości.

W cztery lata później przyszła kolej na „Słowianina“, co wywołało zdziwienie i przygnębienie w szerokich kołach znajomych i przyjaciół Grabowskiego. „Z żalem donoszę — pisze przezacny ks. Stanisław Chołoniewski do I. J. Kraszewskiego 10. lipca 1843 r. — że pan Józef kochany za powrotem swoim, znajdzie bolesny komeraż literacki, tyczący się ogółu piśmiennictwa naszego, a który gorzej jeszcze od „Mieszanin“ poturbuje szyki pisarskie. Trzeba się modlić szczerze, ażeby prawda i sumienie rozbiły wszystkie tumany prywaty i niechęci“. Kraszewski zdaje się w pierwszej chwili nie zwrócił baczniejszej uwagi na słowa swego korespondenta. Dopiero ustęp z listu wrześniowego: „mam jeszcze jedną ważną okoliczność do zakomunikowania, tyczącą się

---

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego“ j. w. str. 793, 794.

ogółu piśmiennictwa; bo w dziwnych czasach żyjemy i nie można dość być ostrożnym w stosunkach literackich...“ zaniepokoił go na prawdę.[1])

Najobszerniej przykry ten moment w życiu politycznem znakomitego krytyka, przedstawia Jan Krechowiecki. Zdaniem jego, Grabowski, ulegając podszeptom Rzewuskiego, „coraz otwarciej i głośniej występował przeciw niewczesnej, według niego, propagandzie, przypisywanej wpływowi emigracyi; bo o tem, co się w kraju z własnego robiło natchnienia, nie tak wyraźne posiadał wyobrażenie, lubo to od dawnego już czasu istniało, zaprowadzało widoczne odmiany...“ Niezrażeni smutnymi wypadkami, zebrani w Kijowie na sławnych kontraktach literaci „postanowili na głównej naradzie tentować o zjednanie sobie pozwolenia u rządu wydawania pisma peryodycznego, mającego być organem opinii powszechnej, p. t. „Słowianin“. Niewiadomo mi, czy w tej naradzie uczestniczył Kraszewski; Konstanty Świdziński i ks. Hołowiński przytomni byli i aprobowali wraz z innymi projekt;[2]) szło tylko o zredagowanie programatu, któryby zaspakajając drażliwość rządu, mógł weń wmówić, że tym nieszkodliwym organem można mu wielkie przynieść korzyści, prostując błędy i wyboczenia opinii i kierując nią tak, aby odtąd z duchem i wolą rządu ściśle harmonizowała, pod hasłem pobratymczego słowiańskiego związku rozszerzając wpływ Moskwy za ostatniemi granicami rozległego jej panowania. Można zresztą domyśleć się, co jeszcze mógł takiego mieścić w sobie podobny programat, przyrzekający nadto wyrzec się wszelkich urojeń i ściśle zachować we wszystkiem radę podaną przez liberalnego Aleksandra *„point de reveries“*.

„Otumaniony, a może i nadzieją powodzenia zamiaru złudzony, lekkomyślnie podjął się zredagowania programatu podobnego Grabowski, i we dni kilka programat ten w formie listu do Pisarewa, szefa biura generał-gubernatora Bibikowa, do powszechnej aprobaty podał. Wnieść słusznie można, i o ile pamięcią treść tego pisma objąć potrafię, zaręczam, iż tam, oprócz istotnej chęci uciszenia podejrzliwości rządu, nic się więcej nie mie-

---

[1]) Dr. Antoni J.: „Józef Ignacy Kraszewski i ksiądz Stanisław Chołoniewski“. Lwów 1878, str. 40—41.

[2]) Odmiennego zdania jest co do tego faktu dr. Tadeusz Grabowski (j. w. str. 99), o czem zresztą we właściwem miejscu obszerniej piszemy.

ściło, coby na tak głośne potępienie zasługiwało. prócz tej zdrożnej myśli kompromisu, który wobec nieskazitelności sumienia pod żadnym względem cierpiany być nie może i na obie strony słusznie zarzut fałszu i dwulicowości ciska.

„Pismo fatalne tegoż dnia lub nazajutrz przesłane było do Pisarewa, który już może na nie oczekiwał, a w parę dni wykradzione przez adjutanta Strutyńskiego, po całym Kijowie, przepełnionym wówczas przybyłymi na kontrakty obywatelami, jak każda wieść fatalna, lotem błyskawicy się rozeszło." [1])

Doskonały znawca dziejów Rusi, [2]) opierając się wyłącznie na liście Grabowskiego do Strutyńskiego, bardzo bezwzględnie sądzi fałszywy krok naszego krytyka, a i sam Strutyński występuje u niego w odmiennem oświetleniu. Zdaniem jego, Strutyński przedstawił Bibikowowi projekt i umotywowanie potrzeby wydawania w Kijowie dziennika w duchu „systemu rządowego" i postulaty, na których wydawca rad byłby go oprzeć. Bibikow inaczej jednak spojrzał na tę całą sprawę. Zbyt dobrze znał Polaków, ażeby mógł wierzyć, że mogą kiedykolwiek na czyjąkolwiek korzyść zrzec się swoich praw politycznych i narodowych; uważał przeto projekt Grabowskiego za wybryk osobisty ambitnego człowieka, który śmiał jemu, nieomylnemu Bibikowowi, dawać jakieś rady. „Głupiec — miał odpowiedzieć Bibikow — jemu się zdaje, że on rozumniejszy odemnie". Wierzył jednak, że musiał to być człowiek „oddany Rossyi" i jakkolwiek propozycyi jego przyjąć nie chciał, pragnął jednak zużytkować zdolności według swego widzenia rzeczy, a dowiedziawszy się, że nie był urzędnikiem, zaproponował mu urząd naczelnika policyi w powiecie radomyślskim. Czy to była ironia ze strony satrapy, rozumiejącego, że jeden w imieniu wszystkich w takich drażliwych sprawach działać nie może; czy złośliwa zemsta panów braci — rezultat usiłowań Grabowskiego był ujemny. Wraz ze Strutyńskim był znakomity krytyk uważany odtąd za zdrajcę narodowego, a aureola sympatyj moskiewskich otaczała już potem przez całe życie jednego i drugiego.

P. Gawroński powodował się w sądzie o Grabowskim — jak to już wyżej zanotowaliśmy — wrażeniem, jakie na nim wywarł

[1]) Jan Krechowiecki j. w. str. 31—33.

[2]) Franciszek Rawita Gawroński: „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Wołyń, Podole". Lwów 1903, str. 34—38.

list tak bardzo przez opinię potępiony, i może tradycyą kół naszemu krytykowi nieprzychylnych. Obok tej jednak opinii występuje druga, o tyle ciekawsza, że pochodzi od człowieka znającego „renegata“ osobiście, stykającego się i dysputującego z nim niejednokrotnie, żyjącego w Kijowie wśród tej samej szlachty, która od pana Michała czas jakiś stroniła. Mamy tutaj na myśli Tadeusza Bobrowskiego.[1]) Pamiętniki jego, wywlekające bez pardonu wszelkie rzeczywiste i częściej urojone, na zwyczajnych plotkach i kawalerskich anegdotach opierające się brudy, posiadają poza tą wstrętną, plotkarską częścią, wartość rzeczywistą. Zwłaszcza obszerne rozdziały o kwestyi włościańskiej i o ludziach w tej epoce występujących na widowni, stanowić będą zawsze nieobojętny materyał dla badaczy sprawy uwłaszczenia włościan, w czem Bobrowski bardzo wybitny przyjmował udział. Wówczas w Kijowie zetknął się on i z Grabowskim. Pierwsze wrażenie nie wypadło dla naszego krytyka korzystnie; że zaś uszczypliwy i zgryźliwy pamiętnikarz nie zwykł był dobierać słów ogładzonych odpowiednio, więc i sylwetka Grabowskiego zarysowała się w konturach brutalnych.

„Grabowski mógł mieć wtedy lat około sześćdziesiąt. Powierzchowności był nie tylko nie pociągającej, ale przeciwnie odstraszającej. Szczerze był brzydkim i to w typie wcale ordynarnym, a do tego zawsze opuszczony, zaniedbany i brudny. Cierpiał rodzaj astmy gardlanej, która go raptem w ciągu rozmowy ściskała gwałtownie, przerywając głos, i wtedy musiał coś słodkiego do ust brać. W tym celu nosił w brudnej kieszeni jeszcze brudniejsze kawałki cukru. Nie był on wcale osobistością popularną ani między rówieśnikami swoimi, ani u młodszego, wykształconego i kształcącego się pokolenia. Pierwsi nie mogli mu zapomnieć osławionego listu do hr. Strutyńskiego w sprawie wychowania młodzieży i kierowania prasą, drudzy znowu wstecznych poglądów, zbratania się z kliką petersburską *Tygodnika* i udziału w sprawie zawieszenia kijowskiej *Gwiazdy;* jedni i drudzy mieli go w suspicyi z powodu pędu do Rossyan, z czem manifestował się rozmyślnie.“

Po kilku tygodniach wzajemnej obserwacyi zbliżyli się obaj wybitni działacze do siebie. „Zawiązał się między nami — zapisuje Bobrowski — dość zażyły stosunek i niedługo zwłócząc,

---

[1]) „Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego“. Lwów 1900, II. 207—223.

opowiedział mi Grabowski historyę listu do Strutyńskiego, a opowiedział z prawdziwem wzruszeniem i ze łzą w oku, z wszelkiemi cechami faktycznej i psychicznej prawdy, która wydała mi się i teraz wydaje niewątpliwą. Otóż zapewniał on mnie, że treść i zakrój listu, obliczonego na obałamucenie generał-gubernatora Bibikowa, celem zabrania w ręce wychowania młodzieży i stworzenia miejscowego organu prasy, były nieraz przedmiotem rozpraw i narad poufnego kółka w domu Hermana Hołowińskiego, sam zaś brulion listu, przed przepisaniem i wysłaniem go Strutyńskiemu, dla zrobienia zeń użytku, był odczytany i zaaprobowany przez Konstantego Świdzińskiego i Józefa Szymanowskiego, powszechnie znanych i szanowanych z patryotyzmu, którzy wszakże po rozgłoszeniu listu, nie mieli odwagi stanąć w obronie Grabowskiego, przyjmując część winy na siebie. Sam zaś Grabowski, jak mi objaśniał swoje milczenie, tak był oburzony tchórzostwem tych panów i dotknięty zawodem przyjaźni, że uznał za niegodne powoływać się na nich, i bez wątpienia miał słuszność... Jakikolwiek był skutek owego listu, a był bolesnym zarówno dla autora, który część należnego mu wpływu, i dla publiczności, która niemałą siłę czynną na długie lata, postradali, mam najgłębsze przekonanie, że Grabowski układając i pisząc ów list, daleki był od służalstwa i widoków osobistych, a powodował się jedynie względami użyteczności publicznej, w zasadzie najzupełniej słusznymi, w sposobie przeprowadzenia mylnymi... Wina zaś jego i to podwójna, że użył tak zwanej „dyplomacyi", t. j. fałszu i obłudy, które bądź co bądź zawsze brzydko pachną delikatniejszym nosom, a strasznie śmierdzą, gdy chybiają celu; i że te, same z siebie nieponętne zapachy zaprawił naiwnością, przypuszczając, że rząd i szczwanego jego reprezentanta, jakim był Bibikow, w pole wyprowadzi. Sam też i wszelkie koszta owej dyplomatycznej exkursyi opłacił."

„Grabowski, w pozornej sprzeczności z dążeniami ogółu, w gruncie rzeczy tylko co do środków, lecz nie co do celów, był przekonany, że przeczeniem i autorytetem potrafi ogół prędzej i skuteczniej na właściwe drogi, wedle rozumowania swego, sprowadzić. Przemawiając zaś z przesadną i bezwględną stanowczością i w duchu konserwatywnym, sprzecznym z prądami czasu i własnego społeczeństwa, chybiał celu, nie przekonawszy nikogo, a mało, na pozór, o serca ziomków dbając, nie był też przez nich kochany. Niesłusznie też zarzucano mu „słabość do Rossyan i panslawizmu". Miał on tylko silniejsze niż inni poczucie głębokości

naszej niewoli, jaśniej widział niemożność doraźnego wyłamania się z niej, trzeźwiej oceniał zakusy i agitacye, w tym celu przez nieproszonych „zbawców ojczyzny“ podejmowane — jawnie je zwalczał i potępiał, trafnie przewidując, na czem się one skończą. Rossyan ani kochał, ani admirował, a widział w nich tylko najmniej nieznośnych z gnębicieli naszych i przekonany był o konieczności szukania i wyszukania możliwego między nimi a nami *modus vivendi*. Osobiście ten wynalazł, pod pokrywką bowiem znacznej niby życzliwości swojej, pozwalał sobie mówić Rossyanom wcale nieprzyjemne rzeczy, których najzagorzalszy patryota polski w żywe oczy, jak on to czynił, powiedziećby się nie odważył. Myślał wówczas Grabowski o kwestyi rossyjsko-polskiej to samo, co myślał o niej Wielopolski, co dziś widzi już jako nieodzowną konieczność prawie każdy poważniejszy, realny umysł, do czego dąży młodsze pokolenie po 1863 r. wzrosłe; ale że wówczas — oceniając stosunki trzeźwiej i jaśniej od ogółu — był wyjątkiem, okrzyczano go za panslawistę, zarzucano brak patryotyzmu, który inaczej tylko i nie tak różowo, jak ogół, rozumiał.“

Tyle Bobrowski. Z pamiętników jego powtórzyliśmy rozmyślnie kilka większych urywków, istotnie bowiem przejrzał on naszego krytyka na wskroś i odmalował sylwetkę Grabowskiego niezwykle wierną i plastyczną.

Wracamy do przerwanego toku opowieści.

W kółku ziemiańskiem zawrzało, plotka rosła do rozmiarów strasznej jakiejś zbrodni narodowej. Młody podówczas jeszcze Eustachy Iwanowski (Helleniusz), szczery wielbiciel Grabowskiego, pospieszył do krytyka z błaganiem, by ten zaprzestał walki z obudzonym duchem narodu, zerwał stosunki z największym swoim wrogiem, Rzewuskim. Grabowski jednak osaczony, jak zwierz w kniei, zaciął się w uporze i bryznął szyderstwem. Helleniusz, zwątpiwszy w uczciwość „rozdawcy godności literackich“, zażądał bliższego wyjaśnienia u jednego ze szkolnych kolegów i przyjaciół Grabowskiego, zamieszkałego w głębi Wołynia. „Ten w odpowiedzi swojej usuwa wszelkie ubliżające charakterowi Grabowskiego posądzenia, nie przypuszcza, aby dał się uwieść poduszczeniom ambicyi, tem bardziej podłym widokom osobistej korzyści, i w tym względzie za niego, jak za siebie samego, zaręcza“. [1]) Tak sądził omyłkę autora „Literatury i Krytyki“ Jan Krechowiecki; nie stracili doń wiary inni koledzy jego i przy-

[1]) Jan Krechowiecki j. w. s. 34.

jaciele, rozsiani po kraju i na emigracyi; nawet Adam Mickiewicz, za natchnieniem Bohdana Zaleskiego idąc, wystąpił z jego obroną; ale reszta społeczeństwa polskiego, ta olbrzymia reszta, nie zastanawiając się nad pobudkami błędu, nad okolicznościami, które przygotowały i umożliwiły „tragedyą“ Grabowskiego, wyklęła popularnego dotąd niezwykle autora; pisma emigracyjne szarpały jego sławę; Juliusz Słowacki odstępcą i renegatem go mianował.

Grabowski — pisze dr. Antoni J.[1]) — „ratując się, z nową wystąpił odezwą do Strutyńskiego, wypowiadając w niej *in claro* swoje przekonania o logicznej i nieuniknionej przyszłości szczepu słowiańskiego, do którego należał, radził więc, aby się dobrowolnie poddano konieczności zjednoczenia czy zlania z potężnym zwycięzcą“. Odezwa ta w licznych odpisach dotarła w lipcu na Podole. „Jest to — tłumaczy ks. Chołoniewski Kraszewskiemu — rzecz długa, ramota ciekawa i z wielu względów dość ważna, a tak różnorodnej treści, że wszelki wyciąg mało by oświecił tych, co jej nie czytali. Głos publiczny nie wątpi o autentyczności pisma tego, kopie jego wszędzie krążą“. „O sławnym liście Michała — odpowiada Kraszewski dnia 1. listopada 1843 r. — niestety wiedziałem dawno, klęska to okropna, zabił mnie tem, długo nie wiedziałem, co począć z sobą, teraz oswoiłem się. Wiem, że Michał żałował swych niewczesnych wynurzeń, że zakrzyknięty upadł na duchu, że gryzie się, że tłumaczy, ale takie olbrzymie głupstwo (mówię jeszcze delikatnie) zrobiwszy, *ex inferno nulla redemptio.* Dla mnie to ciekawy widok, patrzyłem na tego biednego człowieka, jak się stopniowo mienił od początku swej karyery, walcząc z ochotą postawienia się tam, gdzie dziś jest. U niego to tylko żądza *d'être conséquent dans ses principes.* Jestem pewien, że sam nie wie, jak doszedł do rezultatu tego, powoli sobie rozumując, że jego zasady wymagają takich opinij.“ [2])

W Paryżu, wśród kolegów humańskich niedoszłego redaktora, afera kijowska wywarła również olbrzymie wrażenie, choć, jak wzmiankowaliśmy wyżej, nie potępiono go tam bezkrytycznie. „Miałem z różnych stron raporta o Michale — cytujemy słowa z listu Bohdana Zaleskiego do Ludwika Jankowskiego (4. III. 1845 r.) — krwawi mi serce i straszno w duszy, ale nie śmiem go zupełnie potępiać. Najdawniejszy to mój druh, a przytem nie

[1]) Jak wyżej, 40.

[2]) Dr. Antoni J. j. w. 42—43.

pojmuje. dlaczego by przylgnął do Moskali? Zresztą może się jeszcze upamięta? Może otwarcie przyzna się do błędu i podejścia." [1])

I istotnie nie można dziwić się ludziom, co całą młodość swoją prześnili i przemarzyli o lepszej przyszłości, a kilkanaście lat wstecz, idąc w krwawy bój, wszystko postawili na jedną kartę, że serce im się krwawiło na wiadomość o tak strasznem odstępstwie sprawy narodowej — bo inaczej kroku Grabowskiego sądzić zdala nie mogli — a ból ten był tem większy, gdy „renegatem" stał się człowiek stojący od lat szeregu u czoła narodu...

Dr. Tadeusz Grabowski, korzystający ze spuścizny rękopiśmiennej po znakomitym krytyku, [2]) będący zatem w możności z rozmaitych drobnych, dorywczych notatek lub uwag ustalić charakter zbłąkanego na manowce „ugodowca", poświęca i omawianemu przez nas faktowi więcej nieco miejsca. „A tymczasem — są jego słowa — dojrzały pomysły, nurtujące w umyśle krytyka może od czasów zjazdu cudnowskiego. Nie stały one wprawdzie w harmonii z ogólnym nastrojem społeczeństwa, któremu rządy Bibikowa i jego kliki wyrządziły więcej szkód materyalnych, niż moralnych, ale stanowiły wydatny skutek rozmyślań bystrych i przewidujących. Nie schodziły one nigdy z gruntu realnego i dążyły do postępowania otwartego i zastosowanego do położenia. Nie drażnić nerwów, nie rozdzierać ran, ale koić i leczyć, a na zewnątrz zdobyć silną materyalną podstawę bytu przez utwierdzanie religii i języka w państwie, powołanem z natury i mocy do opieki nad ogółem słowiańskim — oto treść polityki, nie schlebiającej *aurae populari* i nie cofającej się przed pogróżką, czy potwarzą. Czy to może polityczny determinizm Staszica, zalecającego harmonię dwóch szczepów i marzącego o równowadze europejskiej? Nie. Grabowski nie jest ani sensualistą, ani przyrodnikiem, jak tamtem, ale z goryczą ocenia wpływ i sympatye francuskie u nas i jak tamten upatruje w rozterce dwóch narodów szkodę dla obu. Nie jest przecież nieprawdopodobnem, że myśli swe zapożyczył od męża tak wypróbowanego patryotyzmu, jak Staszic i że wspólnie z Wielopolskim nawiązywał dawną ideę do mniej jednak korzystnych stosunków. Należało naprzód przygotować grunt, upewnić się o wzajemności drugiej strony, wytwo-

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego". „Przewodnik nauk. i liter." r. 1900, str. 217.

[2]) Dr. Tad. Grabowski j. w. str. 71—72.

rzyć stosunki życzliwości między najwpływowszymi ludźmi obu narodów, dać wyrozumieć ogółowi wspólny, dziejowy interes, a dopiero wtedy zrobić ewolucyą i wyrzekając się wszelkich żądań oddania prowincyj z przed r. 1772, wziąć podział za punkt wyjścia i określić własne d a j ę i ż ą d a m. Zamiast tego Grabowski, jak często człowiek tworzący nowe pomysły, uczynił zwrot pierwej, nim przekonał się o możliwości ich zastosowania. Tym zwrotem był ów głośny, choć nieznany mi w dosłownym tekście i, jak się zdaje, nieogłoszony drukiem list do Pisarewa, pomocnika kijowskiego wielkorządcy, który miał być zarazem rodzajem wstępnego artykułu do dawno marzonego pisma p. t. „*Słowianin*“ (1843 r.). Już sam wybór Pisarewa, urzędnika wprawdzie dość wpływowego, ale o nadszarganej osobistej reputacyi i wspólnika Bibikowa, rzucał cień na program i na redaktora, który go nakreślił. I stało się, że ceniony i nieskazitelny krytyk i obywatel stał się nagle niepopularnym w szerokich kołach młodzieży i starszych, oraz ofiarą zjadliwych inwektyw prasy, szczególnie poznańskiej i emigracyjnej. Pozostał osamotniony i upadł, gdyż szedł prosto, ale nie dość dyplomatycznie i powoli. Osobista duma i czystość pobudek nie dozwoliły mu cofać się albo odwoływać.“

* * *

Do ostatniej epoki żywota Michała Grabowskiego posiadamy bogaty materyał rękopiśmienny w papierach dr. Władysława Rudnickiego i Andrzeja Leszczyc Grabianki. Pierwszego z nich najlepiej charakteryzuje jego pamiętnik, przygotowany do druku ze znacznemi skróceniami i opuszczeniami przez dra Antoniego J. [1]) — Skrócenia były w danym wypadku wprost niezbędne, Rudnicki bowiem, nie zaznawszy w życiu wielu dni słonecznych, z tak ogromną ironią i żółcią odzywa się o ludziach, otaczanych przez społeczeństwo polskie czcią i uznaniem powszechnem, że bardzo ciekawe jego zapiski musiały w znacznej części pozostać w rękopisie. Niemniej przeto dla badacza owej epoki stanowią one materyał ważny a do charakterystyki Michała Grabowskiego sporo dorzucają światła.

---

1) „Z dziejów kijowskiego Uniwersytetu“. Wyjątki z pamiętników dra Władysława Rudnickiego (N a s z K r a j. Lwów 1906).

O Andrzeju Grabiance, wybitnym ziemianinie kresowym, wypadnie nam nieco później bodaj kilka zapisać uwag. Na razie podkreślamy jedynie, iż obadwaj oceniali Grabowskiego bez uprzedzeń: obadwaj osądzili Józefa Ignacego Kraszewskiego ostro za fakt opuszczenia w chwili krytycznej człowieka, któremu bądź co bądź zawdzięczał bardzo wiele.

Rudnicki uczęszczał na Uniwersytet kijowski w latach, kiedy Grabowski, po dłuższem osamotnieniu w Aleksandrówce, znowu osiadł w Kijowie. W rossyjskich kołach literackich i naukowych, zażywał niezwykłej powagi. Z przedstawicieli polskiego społeczeństwa nie stronili od towarzystwa z „wyklętym“ tacy ludzie, jak Konstanty Świdziński, metropolita Hołowiński, Aleksander Groza i Jan Krechowiecki, oraz grono młodzieży uniwersyteckiej. Szlachta zaczęła zwolna zbliżać się ku niemu: zrazu pod sekretem, później coraz jawniej, by przekonać się wreszcie, że dyabeł nie tak straszny, jak go malują.

„Nasz Grabowski — zapisuje dr. Rudnicki — często przebywał pośród grona rossyjskich uczonych, gdzie nie tylko odbierał on zawsze największą cześć i współczucia dowody, ale gdzie, prawdę rzekłszy, formalnie prezydował na wszystkich dysputach naukowo-historycznych, częstokroć smagając bez miłosierdzia nicestwo i uprzedzenia o rzeczach, zwłaszcza dotyczących naszej historyi. A smagać mu było łatwo, nie tylko z powodu, że zapasem wiadomości historycznych, nie z pamiętników — jak u nich bywało — ale z dokumentów, zabytków, pieśni, podań i t. d. wysnutych, przechodził wszystkich ówczesnych uczonych kijowskich, lecz także z powodu wolnego od wszelkiej karczemnej formy, a jednak tak dotkliwego dowcipu, jakim mu nie tylko z obcych, ale i ze swoich nikt nigdy nie dorównał. *Notre respectable vipère*, zwała go arystokracya rossyjska, dobijając się wszakże z zapałem jego znajomości i względów. *Mes amis, les ennemis* nazywał ich w oczy Grabowski, nie zaniedbując żadnej, choćby najmniejszej okoliczności, do wyznania otwarcie, że może żyć z nimi w zgodzie, lecz zawsze jako Polak, nigdy jako renegat. Od tego też czasu Kijów stał się punktem, z którego najpierwej dały się słyszeć publiczności moskiewskie głosy, przemawiające za zgodą z Polakami pod warunkiem nie tylko należnych im praw i ustępstw, ale nawet całkowitej odrębności politycznej.“

Młody student, z uwielbieniem słuchający wywodów tak popularnego niegdyś w całej Polsce męża, skrzętnie zapisywał każde niemal jego słowo, malujące sposób zapatrywań Grabowskiego na

naszą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość dziejową. Scharakteryzowawszy np. kilku śmiałemi pociągnięciami obraz przedrozbiorowej Polski, mówił autor „*Literatury i Krytyki*“ dalej: „Każdy myślący człowiek przyzna, że nie dla tego Bóg dopuścił upadek, by po nim ostateczna nastąpiła zguba, ale dla tego, aby z rąk naszych wyjąć narzędzie, którem zabijaliśmy sami siebie, aby nam oczy otworzyć i podać środki do poprawy, a tem samem do podźwignięcia się z upadku. Jakoż podzielono nas na trzy części: Austrya, która ze swoim systemem rządowym, najwięcej, zda się, zagrażała narodowości naszej, stała się zarazem najpierwszym jej stróżem i będzie nim, póki pozostanie katolicką i z Rossyą a Wschodem graniczyć nie przestanie. Nadto Austrya daje nam światło i pierwsze początki materyalnej administracyi krajowej, o której myśmy dawno zapomnieli. Na straży narodowości w Prusach stoi, jak miecz nieprzełamany, duchowieństwo katolickie i lud, identyfikujący nazwisko katolika nie tylko z nazwiskiem Polaka, ale nawet człowieka. Rossya nakoniec — a tu już dosłuchamy się echa programu „*Słowianina*“, za który Grabowskiego tak bezkrytycznie i zbyt pochopnie ukamienowano — jeśli pod tysiącznymi względy niżej od nas stoi, to jednak przyniosła nam w darze ideę nieograniczonego posłuszeństwa i uległości władzy, oraz zgody narodu z rządem, dwie rzeczy, na których nam właśnie jak najwięcej zbywa.

„Póki przeto nie przejdziem tej szkoły, do której nas sama Opatrzność oddała, póki gruntownie nie ukończym tych nauk, których potrzeby sami nie umieliśmy pojąć, póty nie mamy żadnego prawa do obywatelstwa w Europie: wszelkie usiłowania nasze ku odzyskaniu tego, cośmy stracili, zawsze będą przedwczesne, nigdy się nie udadzą, bo udać się nie mogą. W mojem przekonaniu zatem, nie usiłowanie zwalczenia słońca motyką, powinno u nas nosić nazwę patryotyzmu, ale przeciwnie, zrozumienie pozycyi swojej, pojęcie potrzeb narodu i spokojny rozwój na drodze, wytkniętej nam przez wolę Opatrzności z jednej, a doświadczenie, nabyte z historyi, z drugiej strony. Nie do buntów tedy i do rewolucyi zachęcać naród potrzeba, ale przeciwnie do uległości i cierpliwości, do wytrwałości i pracy, a pracy przedewszystkiem praktycznej, która jednocześnie i umysł oświeca i duszę i wolę człowieka hartuje. Do takiej pracy zaś, zwłaszcza wszechstronnej, to jest we wszystkich kierunkach społecznych potrzeb podjętej, potrzeba przedewszystkiem stosownego pola, powtóre pewnej, chociażby ograniczonej, swobody. Jedno i drugie możemy zyskać

przez wyrzeczenie się kapryśnego odosobnienia naszego, przez dobrowolne zbliżenie się z tymi, z którymi stykać się, w innej tylko roli sama konieczność nas zmusza, słowem przez zamienienie naszych wrogów i ciemiężycieli na przyjaciół i braci. Zarzuty, jakie przeciwko temu stawią głupcy, nadto są pospolite, aby je szczegółowo rozbierać było warto. Jedno z dwojga koniecznie jest prawdą: albo my stoimy moralnie wyżej od naszych wrogów, albo się rzecz ma zupełnie odwrotnie. W pierwszym razie, oceniając sami czynności nasze, kierując niemi wedle potrzeby, nie mamy czego się obawiać. Wszak Niemcy nic nie stracili na tem, że stanęli u steru rządu w Rossyi. W drugim razie zguba nasza nieunikniona, skoro i siła materyalna po tamtej stronie przeważa, bunt jednak zawsze nie usunie złego, ale je tylko przyspieszy, a jeśli ginąć już koniecznie, to zawsze lepiej później, niźli wcześniej.

„Póki jednak, jako święte relikwie, jako skarby nasze, przechowamy śród siebie religię ojców, tradycye, język i historyę, póty żadna siła nas nie przerodzi i narodowość nasza szwanku nie dozna. Owszem, co my wszczepimy w barbarzyńców, to już na zawsze naszą zasługą, naszą własnością się stanie i prędzej, czy później na naszą własną korzyść się obróci... Ale koryfeusze dzisiejsi, mieniący się być apostołami narodu, czyli go do tego prowadzą? Jak sami tanim kosztem wielkimi ludźmi zostali, tak też sądzą, że małymi, babskimi środeczkami, można zmienić prawdę historyczną i wielkich rzeczy dokonać.“

Że Rudnicki spisał istotnie słowa Grabowskiego, udowadniać nie mamy potrzeby; omawiają one tylko obszerniej i szerzej to, co już Jan Krechowiecki streścił nam w kilku zwięzłych zdaniach, a zresztą i notatka Grabianki, którą poznamy niebawem, te same zasadnicze momenty podkreśla, w innej nieco tylko formie.

Lat sześćdziesiąt z górą oddziela nas od daty napisania programu *„Słowianina“*; przeżyliśmy w ciągu tego czasu 46, 48 i 63 rok, nauczyliśmy się i doświadczyli bardzo dużo, prawdopodobnie więc i inaczej oceniamy słowa Grabowskiego od owych egzaltowanych romantyków, co nie tak dawno patrzyli na rok 1831, a po upadku powstania konspirowali dalej w kraju i na emigracyi. My dzisiaj moglibyśmy może ze znakomitym krytykiem dysputować na temat zalecanej przezeń uległości i cierpliwości, ale

nad resztą jego programu nie przeszlibyśmy tak bez zastanowienia do porządku dziennego, a co ważniejsza, nie ochrzcilibyśmy z pewnością projektodawcy mianem zdrajcy.

Zmieniły się czasy, ale zmienili się i ludzie, a polityka polsko-rossyjska na zupełnie odmienne wkroczyła tory. Dzisiaj nie usuniętoby lekkomyślnie takiej miary męża od obrad nad losami kraju i kto wie, czy nie ofiarowanoby mu w akcyi obywatelskiej naczelnego stanowiska.

Michał Rolle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Każda dywizya miała swój odrębny program naukowy, dostosowany do programów publicznych zakładów francuskich.

Najniższa czyli czwarta dywizya uczyła się historyi i geografii powszechnej, gramatyki i ortografii oraz literatury francuskiej, kaligrafii, arytmetyki oraz elementów algebry i geometryi.

Dywizya trzecia, złożona z panien, które już w kraju w znacznej części pozdawały egzamina przed wstąpieniem do instytutu, miała w programie naukowym przeważnie tylko przedmioty francuskie a mianowicie gramatykę i ortografię francuską, historyę Francyi, literaturę francuską, a prócz tego hygienę, mitologię i rachunkowość.

Program studyów dywizyi drugiej czyli uczenic, gotujących się do egzaminu w szkołach elementarnych, obejmował: gramatykę francuską, ortografię, kaligrafię, historyę Francyi, geografię Francyi i jej kolonij, wiadomości z geografii powszechnej i literatury francuskiej.

Dywizya pierwsza czyli dywizya kandydatek do szkół wyższych miała w programie naukowym szczegółowe studyum literatury francuskiej, dalej fizykę, chemię, historyę naturalną, historyę powszechną, geografię oraz matematykę, a w szczególności:

arytmetykę, geometryę, algebrę i rachunkowość, a prócz tego mitologię i hygienę.

Uczenice dywizyi pierwszej i pewna część t. z. Wielkopolanek pobierały naukę przeważnie w Sorbonie.

We wszystkich dywizyach obowiązywała nauka religii i przedmiotów polskich.

Nauka przedmiotów polskich obejmowała według stanu rzeczy z r. 1895: język, literaturę i historyę polską, a rozdzielała się na cztery kursa.

Kurs czwarty czyli najniższy składał się z uczenic, mających zaledwie małe początki języka polskiego, a uczono na nim polskiego pacierza, elementów gramatyki, deklinacyi, wyrazów polskich, potrzebnych do konserwacyi i małych opowieści.

Na trzeci kurs chodziły uczenice, które się już nieco języka poduczyły, a brano z nimi w dalszym ciągu gramatykę polską, zadawano do memorowania wiersze i ćwiczono w konwersacyi polskiej.

Uczenice tego kursu miały w r. 1895 co tydzień jedną godzinę z profesorem języka polskiego, a dwie godziny korepetycyj z jedną z Wielkopolanek.

Do kursu drugiego zaliczono uczenice władające już biegle językiem polskim w mowie i piśmie. Część tych uczenic urodziła się w kraju ojczystym a część nabyła biegłości w Instytucie, Uczenice tego kursu czytały utwory literatury polskiej i robiły zadania piśmienne.

Do pierwszego kursu zaliczono te, które przybyły z kraju do Paryża na lat kilka dla języka francuskiego. Z tymi czytano i tłumaczono rozmaite utwory z polskiego na francuski i na odwrót.

W osobnych godzinach wykładano dla wszystkich historyę polską i literaturę polską; uczenice, władające językiem polskim słabo, były od tych godzin czasowo uwolnione.

Wielki nacisk położono w instytucie na tak zwane *les arts d'agrément* t. j. sztuki przypodobania się: muzykę, rysunki, malarstwo i znajomość niektórych języków obcych, niemieckiego, angielskiego, włoskiego, hiszpańskiego, oraz taniec i formy towarzyskie.

Nauka tylu tak różnorodnych przedmiotów wymagała licznego personalu nauczycielskiego. Grono nauczycielskie składało się w pewnej części z nauczycielek zamieszkałych w zakładzie, z których jedna a często i więcej były sprowadzone z kraju macierzy-

stego, aby uczenicom wykładały początki języka polskiego, same zaś kształciły się w języku francuskim, w muzyce i rozmaitych sztukach, pożądanych w życiu towarzyskiem, a w przeważającej części z nauczycieli i nauczycielek przychodnich.

W pierwszych latach istnienia Instytutu księżniczka Izabella Czartoryska, córka założycielki, udzielała przez pewien czas języka angielskiego z wielkim dla uczenic pożytkiem.

Z profesorów przedmiotów polskich zapisało się kilku w dziejach zakładu bardzo zaszczytnie.

Stanisław Kunatt, były profesor ekonomii politycznej w Uniwersytecie warszawskim, wykładał w Instytucie język, historyę i literaturę polską przez lat przeszło dwadzieścia. Z pod jego pióra prócz rozpraw z zakresu ekonomii politycznej wyszły rozprawy treści pedagogicznej: O szkołach politycznych Francyi i O organizacyi szkół wyższych w Francyi. W Hotelu Lambert pracował jako nauczyciel bardzo gorliwie i zdobył sobie niesłychane przywiązanie uczenic, z któremi się rozstał dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią († 1866).

Drugim profesorem, którego uczenice Instytutu wspominają z wdzięcznością i uwielbieniem, był Wacław Gasztowtt. Jedna z nich zapisała w pamiętniku następującą uwagę: „Kursa p. Gasztowtta miały ogromne powodzenie; jego wykład gramatyki polskiej był bardzo jasny, a co do kursu literatury polskiej, to stał się on dla nas po dwu czy trzech latach prawdziwą roskoszą, bo tak go umiał nasz profesor uczynić zajmującym...“

Uczenice prócz nauki miały w zakładzie mieszkanie i całkowite utrzymanie i zaopatrzenie w niezbędne środki naukowe.

Przyjmowano do zakładu tylko kandydatki polskiego pochodzenia przynajmniej ze strony ojca z początku z ukończonym dziesiątym rokiem życia, umiejące przynajmniej czytać i pisać w jednym języku. Według pierwotnego statutu zakładowego uczenice, mające lat 18 skończonych, przestawały należeć do Instytutu, a jeżeli dłużej chciały w nim pozostać, to musiały przyjąć obowiązki nauczycielek miejscowych. Później stworzono osobną dywizyę starszych uczenic, przyjeżdżających do Francyi z kraju dla uzupełnienia studyów, zwłaszcza dla wyuczenia się języka francuskiego.

Otwarto zakład z dwunastoma panienkami; w rok po otwarciu frekwencya się zdwoiła, a następnie ciągle się powiększając, wynosiła przed rokiem 1870 przeciętnie 45—50 uczenic. Zgłasza-

jących się kandydatek było nierównie więcej, ale szczupłość lokalu nie pozwalała na przyjęcie większej liczby.

Po roku 1871, w którym rząd cofnął subwencyę, frekwencya musiała się z konieczności skurczyć do bardzo małej liczby.

Od uczenic zamożnych pobierano pewną opłatę według umowy; uczenice ubogie i sieroty przyjmowano bezpłatnie. Miejsca bezpłatne przyznawano z warunkiem, że uczenica poświęci się zawodowi nauczycielskiemu.

Rodzice, mający wyznaczone dla córek zasiłki rządowe, musieli ich się zrzec na rzecz zakładu na czas studyów.

Uczenice nosiły uniformy pomysłu księżnej założycielki. Uniform składał się z sukienki koloru granatowego, wtedy modnego, zwanego granatem królewskim lub francuskim, z płaszcza czarnego i kapelusza pluszowego czarnego, podszytego czerwonem na zimę, w lecie z kapelusza białego słomianego, ubranego niebiesko i z mantylki lekkiej czarnej. Uczenice zapisały w pamiętnikach, że kostyumowi temu brakowało elegancyi zwłaszcza w kroju, że widocznie nie chciano w nich rozbudzać kokieteryi. Na uroczystości wdziewały sukienki muszlinowe białe z wstęgami jasno błękitnemi.

Stroną gospodarczą Instytutu zajmowała się ekonomka.

Kierownictwo naukowe zakładu dzierżyła ochmistrzyni czyli dyrektorka.

Pierwszą dyrektorką Instytutu była pani Szokalska, matka dra Szokalskiego, ktory zasłynął później w Warszawie jako okulista. Imię tej dyrektorki zapisało się w dziejach zakładu bardzo zaszczytnie (1845—1854).

Odtąd kierowały zakładem same Francuzki z wyjątkiem panny Gosztowttównej (1876—1877). Druga z kolei dyrektorka panna Rouquayrol (1854—1868) i jej następczyni panna Letellier (1868—1876) były osobami wszechstronnie wykształconemi i pedagogicznie uzdolnionemi, pozostawiły też w dziejach zakładu jak najlepszą po sobie pamięć.

Po pannie Gasztowttównie kierowały zakładem panny Gaudry (1877—1881), Boequilon (1881—1890) i Glaudin (1890—1899).

Duszą i główną kierowniczką i opiekunką zakładu była założycielka księżna Anna a po niej jej córka Izabella. Stosunek tych pań do uczenic zakładu był, by go krótko określić, wzorowy, jak matki dobrej do dzieci, a nawzajem uczenic do opiekunek, jak wdzięcznych córek do najczcigodniejszej serdecznie ukochanej

matki. W zakładzie panowała serdeczna atmosfera rodzinna, do której uczenice długo po ukończeniu studyów tęskniły.

Księżna Anna a następnie i jej córka Izabella miały do pomocy Radę przyboczną, złożoną z osób przez siebie uproszonych a zostających pod ich przewodnictwem. Rada ta miała ogólny rząd i nadzór, mianowała personal szkoły, przyjmowała uczenice, zbierała fundusze i uchwalała wszelkie postanowienia, dotyczące Instytutu.

W Radzie prócz przewodniczących zasiadali: ks. Adam Czartoryski, hrabina Władysławowa Zamoyska, ks. Władysław Czartoryski, generał hr. Bystrzonowski, Teodor Morawski i Ludwik Wołowski. W pierwszej Radzie najczynniejszym członkiem był Adolf Cichowski. Później obowiązki sekretarza i kasyera pełnił Józef Rusteyko.

Koszta utrzymania zakładu były znaczne, przy liczniejszej frekwencyi dochodziły do 40.000 fr.

Dochody płynęły z rozmaitych źródeł. Rząd francuski płacił do r. 1871 subwencyę z początku nieco mniejszą, wkońcu w kwocie 25.000 fr., kilka tysięcy wpływało z opłat uczenic, ofiary płynęły niezbyt obficie. Znaczne niedobory pokrywała przewodnicząca Rady, dając prócz tego bezpłatnie lokal i opłacając niektórych urzędników zakładu.

Instytut, pobierając subwencyę rządową, musiał się poddać kontroli rządu, którą wykonywała mianowana przez niego wizytatorka.

Po roku 1871 nieomal cały ciężar utrzymania zakładu spadł na hrabinę Izabellę Działyńską. Po jej śmierci dn. 20. marca 1899 r. sukcesorowie, wyznaczywszy czasowo dla kilka panienek stypendya na dokończenie studyów, zwinęli zakład jako zbyt kosztowny, zresztą już małą bardzo mający frekwencyę.

Instytut oddał emigracyi a poniekąd i krajów znaczne usługi.

Już w r. 1856 a zatem w dwunastym roku istnienia zakładu mogła jego założycielka stwierdzić, że do owego czasu sto przeszło rodzin wychodźców polskich oddało córki na wychowanie do zakładu, że czterdzieści z nich skończyło w nim nauki zupełnie, że szesnaście otrzymało dyplomy nauczycielek i że wszystkie prawie znalazły korzystne miejsca w kraju, w Francyi lub Anglii.

W dziewięć lat później t. j. w roku 1866 odebrało było w instytucie edukacyę 230 panien, z których około 60 dostało miejsca guwernantek w znaczniejszych domach polskich.

Przez cały czas istnienia swego Instytut wykształcił przeszło 600 panien polskich.

Dawne uczenice zawiązały dnia 2. maja 1873 roku Stowarzyszenie byłych uczenic hotelu Lambert. Celem tego stowarzyszenia było nawiązanie przyjaznych stosunków pomiędzy wszystkimi byłymi uczenicami Instytutu i niesienie pomocy tym z nich, które jej potrzebowały.

Literatura i źródła. Association des anciennes élèves de l'hotel Lambert: Statuts et compte-rendue de la Réunion de 1873, Lagny 1873; Bulletin annuel, Lagny 1876 i 1878. — Bolewska M.: Kilka słów o egzaminie w Hotelu Lambert w Szkole polskiej, Poznań 1853. — Czartoryska Anna: Pensya panien polskich w Paryżu, Paryż 1845; Tejże: Institut des demoiselles polonaises, Paryż 1856 (odezwa); Tejże toż samo po polsku: Instytut panien, Paryż 1856. — Externat de jeunes demoiselles, dirigé par madame Adam Pilinska. — (Hoffmannowa z Tańskich Klementyna): Plan d'un établissement d'éducation complémentaire pour les jeunes étrangers, dirigée par M-me Tańska Hoffman, ancienne surintendante des Pensionats des jeunes personnes dans le royaume de Pologne, Paris b. r. — Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu w czasie emigracyi, Paryż 1860. — L'Institut polonais. Souvenirs et fragments 1845 à 1895, Paris 1895. Praca zbiorowa byłych uczenic. — Maison d'éducation pour les jeunes Polonaises, Paris 1844 (Podpisani hr. Olizar i ks. Sadowski). — Materyały rękopiśmienne w Muzeum XX. Czartoryskich. — Rocznik Tow. hist.-lit. Rok 1866 i następne.

4. Instytut Panien w Hotelu Lambert nie zaradzał wszystkim potrzebom emigracyi pod względem wychowania dziewcząt. Liczba uczenic w Hotelu Lambert mogła być tylko szczupła z powodu braku miejsca, a przyjmowano do zakładu przeważnie tylko panienki szlacheckiego rodu a w każdym razie niemłodsze nad lat dwanaście. Całe szeregi dziewcząt i sierot nieszlacheckich lub nie mających lat dwunastu były bez opieki narodowej.

I tej potrzebie zaradziła księżna Anna Czartoryska, otwierając w Paryżu dnia 6. stycznia 1846 roku osobny Dom dla sierot dziewcząt pod wezwaniem św. Kazimierza.

Nowy zakład rozrastał się prędko. Już w r. 1851 musiano go przenieść do obszerniejszego domu.

Tymczasem pokazało się, że prócz osierociałej dziatwy potrzebuje chociaż innej zupełnie, aniżeli dziatwa, ale niemniejszej opieki szereg zestarzałych weteranów. To było powodem do rozszerzenia zakładu i do urządzenia obok domu sierot zarazem i domu starców. Ta część instytucyi nie wchodzi jednak w zakres niniejszych studyów.

W r. 1861 dzięki znacznej ofierze księcia Władysława Czartoryskiego zakupiono plac przy ulicy Chevaleret i wzniesiono na nim wygodny gmach na pomieszczenie całego zakładu. Instytucya miała zapewniony byt.

Znacznego rozszerzenia doczekał się Dom św. Kazimierza w r. 1866, przyłączono bowiem do niego jako filię nowo urządzony Dom św. Stanisława w Juvisy pod Paryżem. Tu urządzono przytułek dla starców i dla sierot chłopców.

Kierownictwo i bezpośredni zarząd obu domów powierzono Siostrom Miłosierdzia, przybyłym do Paryża z kraju.

Opiekę nad zakładem objął Komitet opiekuńczy Dam, zorganizowany już w r. 1846 z pań polskich i francuskich. Prezesostwo w pierwszym Komitecie przyjęła hr. de la Redorte. Należenie do Komitetu było połączone z troską o utrzymanie zakładu i zaopatrzenie go w niezbędne potrzeby, głównie z troską o zebranie funduszów. Z tego też powodu Panie komitetowe mogą słusznie uchodzić za dobrodziejki instytucyi. Niektóre z tych Pań zasłużyły na wyjątkową jej wdzięczność. Urządzenie zakładu w Juvisy przyszło do skutku znacznej ofierze hr. Izabeli z ks. Czartoryskich Działyńskiej oraz koncertowi, danemu na ten cel przez księżnę Marcelinę Czartoryską. Bardzo długo pracowała w Komitecie opiekuńczym pani Leonowa z Wołowskich Faucherowa. W sprawozdaniu z r. 1905 napisano, że Instytucya przez zgon tej pani poniosła dotkliwą stratę. Pani Faucherowa w gronie Pań opiekunek mimo podeszłego wieku dawała do końca swego życia przykład niestrudzonej troskliwości o Instytucyę i niewyczerpanej dobroczynności. Zostawiła też Domowi trwałą tych cnót pamiątkę, przekazując mu 20.000 fr.

W skład pierwszego Komitetu prócz wspomnianych wyżej pań wchodziły: księżna Marya z Grocholskich Czartoryska, hr. Moszczeńska i hr. de Monttesny.

Według statutu z r. 1869 Komitet opiekuńczy miał się składać z 12 pań, prócz pań członków honorowych i matki przełożonej Sióstr Miłosierdzia. Historya instytucyi zapisała z szczególną wdzięcznością imię matki przełożonej Mikułowskiej, założycielki

zakładu w Juvisy, w którym pracowała długo i niezmordowanie.

Damy komitetowe zaliczały się do bardzo wpływowych sfer społeczeństwa polskiego i francuskiego, dzięki czemu mogły na rzecz instytucyi rozwinąć wydatną działalność zwłaszcza pod względem finansowym.

Dzięki wpływom i stanowisku Dam Komitetu opiekuńczego udało się n. p. zorganizować w r. 1905 koncert najznakomitszych artystów z Paderewskim na czele, który przyniósł Instytucyi blisko 10.000 fr. czystego zysku.

Obecnie na czele Komitetu opiekuńczego stoi księżna Dominikowa Radziwiłłowa.

Sprawy administracyjne Instytutu złożono w r. 1868 w ręce Rady opiekuńczej czyli administracyjnej, w skład której wchodzili tylko Panowie, Polacy i Francuzi, również w liczbie dwunastu. Według statutu Rada opiekuńcza w porozumieniu z Komitetem opiekuńczym kierowała sprawami moralnemi, intelektualnemi i materyalnemi Instytucyi, orzekała w sprawach wydatków i dochodów i troszczyła się o rozwój zakładu. I do Rady wybierano osobistości wpływowe. Prezesostwo pierwszej Rady objął ks. Władysław Czartoryski i piastował je z wielkiem dla Instytucyi poświęceniem długo. W r. 1886 Rada opiekuńcza z prezesem ks. Wł. Czartoryskim na czele urządziła na rzecz zakładu ogromną loteryę artystyczną, wypuszczając 300.000 losów po 1 franku. Fantów dostarczali artyści polscy i obcy.

Obecnym prezesem Rady jest książę Dominik Radziwiłł. Prócz członków zwyczajnych wchodzą w skład Rady i członkowie honorowi.

Dochody czerpała i czerpie Instytucya z pensyj, opłat i subskrypcyj, z subwencyj i zapomóg rządowych francuskich, z sum wpływających od dobrodziejów, z darów i legatów, z dochodów przygodnych oraz z zysków za wyroby warsztatowe dzieci zakładowych.

Subsydya rządowe, dawniej wydatniejsze, obecnie szczuplejsze, były i są dziś jeszcze może najpewniejszem i najwydatniejszem źródłem dochodów instytucyi.

Majątek własny zakładu przynosi instytucyi stosunkowo małą część potrzebnych jej funduszów.

Budżet instytucyi wykazuje poważne sumy. W r. 1865 wynosiły wydatki około 19.000 fr., dochody 16.800 fr., niedobór pokryła ofiarność publiczna.

W r. 1877 doszły wydatki do sumy 57.700 fr.

W r. 1906 wykazano w budżecie dochody w sumie 75.455 fr. a rozchody w kwocie 71.020 fr.

Zakład już w r. 1869 został uznany przez rząd francuski za instytucyę użytku publicznego; jednocześnie zatwierdził rząd statut, który też określa cele instytucyi, dotyczące wychowania i nauczania pomieszczanych w nim dzieci.

Instytucya miała na celu zapewnienie przytułku i dostarczenie edukacyi moralnej i intelektualnej sierotom i córkom najuboższych wychodźców polskich oraz osieroconym lub opuszczonym chłopcom polskiej narodowości.

Edukacya dziewcząt miała prócz nauki religii objąć naukę przedmiotów świeckich według planu szkół początkowych miasta Paryża, dalej naukę profesyi lub przemysłu, zastosowaną do przyszłego przeznaczenia dziewcząt w życiu społecznem, a nareszcie naukę języka i historyi polskiej z szczególnem uwzględnieniem tradycyj i zwyczajów narodowych polskich.

Edukacya chłopców miała objąć naukę początkową języka polskiego i francuskiego i miała ich przygotować do wstąpienia do klas elementarnych w Szkole polskiej batyniolskiej.

W Domu św. Kazimierza wychowywały się tylko dziewczęta, a w Domu św. Stanisława tylko chłopcy.

Dziewczęta sposobiły się na początkowe nauczycielki, na bony do dzieci, na służące, wyrobnice, jednem słowem do pełnienia obowiązków niższych warstw społecznych. Wyjątkowo uzdolnione uczenice, dorósłszy lat dwunastu, przechodziły do Instytutu Panien w Hotelu Lambert.

Instytucya oddała emigracyi polskiej znaczne usługi. Na dowód przytoczę kilka dat statystycznych.

Do Domu św. Kazimierza przyjęto na początek 5 dziewcząt, która to liczba urosła po kilku miesiącach do 15.

W r. 1851 było w zakładzie już 40 sierot.

W Domu św. Stanisława w Juvisy pomieszczono na początek w 1866 roku 10 chłopczyków w wieku od 4 do 8 lat; w Domu św. Kazimierza było już wtedy 70 dziewcząt.

W r. 1877 Dom św. Kazimierza wychowywał 55 dziewczynek a Dom św. Stanisława 13 chłopców.

Liczba dzieci, przyjmowanych do zakładu, nie zmniejszyła się i w ostatnich czasach.

W r. 1904 było w zakładzie 44 dziewcząt a 20 chłopców, w 1905 r. 41 dziewcząt, 20 chłopców, w 1906 roku dziewcząt 41, chłopców 19.

Obecnie przeżywa Instytucya ciężkie chwile, głownie z powodu dokonywującej się likwidacyi dawnych stosunków emigracyjnych, na których tle wyrosła i przekształcania się odpowiedniego miejscowej kolonii polskiej, z której ubyły żywioły zamożne, a nie ubyła niestety nędza w wszystkich formach.

Zgłoszenia o przyjęcie do zakładu wcale się nie zmniejszają, ale zmniejszają się z rokiem każdym ofiary, z których Instytucya głównie żyje.

Przy budżecie rocznym, wynoszącym do 70.000 fr. w rubryce wydatków, Instytucya ma zaledwie 4.500 fr. własnego dochodu stałego. Różnicę w dochodach trzeba pokrywać jałmużnami. Do tej chwili oprócz wspaniałomyślnych prywatnych ofiarodawców rząd francuski dostarcza zapomogi z utworzonych po r. 1831 funduszów emigracyjnych, których dochodem dzielą się w równej połowie polskie i alzacko-lotaryngskie instytucye emigracyjne. Fundusz emigracyjny ulega jednak stopniowemu uszczupleniu.

Zamierają powoli niektóre źródła stałych dochodów. Przed laty kilku miasto Kraków przestało zasilać instytucyę dorocznemi stałemi zapomogami.

Teraźniejsze zaburzenia w dzielnicy rossyjskiej odbiły się dotkliwie na losach instytucyi, uszczuplając ofiary, które ztamtąd płynęły.

W tych utrudnionych warunkach musiał zarząd zamknąć filię zakładu w Juvisy, rozprzestrzeniając odpowiednio dom paryski.

W obecnej chwili najbardziej interesującą częścią zakładu jest oddział polskich dziewcząt, kształcących się na guwernantki lub bony, na które popyt z kraju jest tak wielki, iż można przebierać w żądaniach i zapewniać od razu wychowanicom nader korzystne pod każdym względem warunki.

Pod kierunkiem teraźniejszej przełożonej, Siostry Miłosierdzia Szymańskiej, kobiety bardzo wykształconej i energicznej, zdolniejsze dziewczęta uczęszczają do wyższych zakładów naukowych francuskich, zdobywając sobie tam odpowiednie dyplomy.

Wszystkie dziewczęta uczą się szycia i rozmaitych robót kobiecych, dopomagając do utrzymania zakładu bez szkody jednak dla nauki i zbierając własną pracą fundusz zapasowy.

Literatura i źródła. Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu na emigracyi, Paryż 1862. — Oeuvre de Saint-Casimir — Zakład św.

Kazimierza w Paryżu: Statuts organiques; Sprawozdania w jęz. pol. i fr. I.—XXIV. (do r. 1906), odezwy. — Rocznik Tow. hist.-lit. za 1866 i dalsze. — Panu K. Waliszewskiemu, skarbnikowi zakładu, składam tu gorące podziękowanie za informacye listowne i nadesłane niektóre druki.

5. Gdy księżna Anna Czartoryska krzątała się około zorganizowania Domu św. Kazimierza, mąż jej ks. Adam Czartoryski rozpoczął jednocześnie akcyę szkolną w innym kierunku. W roku 1847 otworzył Szkołę wojskową w Paryżu. Naczelnikiem jej był generał Chrzanowski, autor znany wielkiej mapy Polski.

Było w tej szkole uczniów 20. Uczyli w niej generał Chrzanowski strategii, J. Grotkowski matematyki, kapitan D. Bielski artyleryi, podpułkownik Paprocki taktyki piechoty, kapitan Izbicki inżynieryi a R. Wesołowski rysunków topograficznych.

Na utrzymanie tej szkoły książę Czartoryski wyjednał u rządu francuskiego 20.000 fr. Szkołę tę zwinięto niebawem, robiąc miejsce innemu, potrzebniejszemu zakładowi.

Literatura i źródła. Szczegóły, nieliczne zresztą, znaleść można w niektórych broszurach, wymienionych pod następną (6) częścią rozdziału niniejszego (III.).

6. Po wypadkach dziejowych z r. 1846 i 1848 napłynęło do Francyi sporo młodzieży polskiej, która, nie znając języka francuskiego, nie mogła korzystać z nauk, wykładanych w rozmaitych instytutach naukowych francuskich. Jednocześnie uczniowie, wychodzący z szkoły batyniolskiej, przeważnie synowie niezamożnych emigrantów, z trudem znajdowali środki do dalszego kształcenia się, z konieczności musieli się niektórzy chwycić pierwszej lepszej pracy, aby się utrzymać. Rzuceni daleko od rodaków tonęli powoli w tłumie Francuzów i trzeba się było lękać, że się z czasem całkiem wynarodowią, zwłaszcza że większa część matek Francuzek, przerażonych smutnym stanem Polski, nie życzyła sobie, aby ich synowie zaliczali się uporczywie do kraju, który wymagał po synach swoich więcej ofiar, aniżeli im zdawał się obiecywać zysku. Te względy skłoniły księcia Adama Czartoryskiego do zwinięcia szkoły wojskowej, a do założenia w jej miejsce Szkoły przygotowawczej polskiej, którą otwarto z początkiem roku szk. 1848/9 w Paryżu przy ul. Neuve-Sainte-Geneviève.

Tej akcyi sprzyjały okoliczności. W lipcu 1848 roku umarł w Dreznie Maciej Wodziński, senator wojewoda, który testamentem z dnia 11. czerwca 1840 r. zapisał część swych cennych zbiorów oraz 100.000 złp. na rzecz emigracyi. Zbiory przeszły pod opiekę Towarzystwa historyczno-literackiego polskiego w Paryżu. Na szafarza zaś funduszu wybrał testator ks. Adama Czartoryskiego, z którym żył w ścisłej przyjaźni, pozostawiając mu zupełnie wolną rękę. Najznaczniejsza część zapisu ś. p. Wodzińskiego przeznaczył Czartoryski na zakładającą się szkołę przygotowawczą polską.

Fundusz ten uzupełnił i powiększył wsparciem, wyjednanem u rządu francuskiego oraz własną ofiarnością i zbieranemi składkami.

Młodzież polska znajdowała w szkole tej przedewszystkiem możność nauczenia się języka francuskiego a ztąd i ułatwienie bądź do dalszych studyów w naukowych zakładach francuskich, bądź do obrania sobie jakiego praktycznego zawodu.

Wykładano w szkole język polski i francuski, a przez niejaki czas nawet łaciński i grecki, dalej kosmografię, historyę polską i powszechną, ekonomię polityczną, prawo natury, ale przeważnie nauki ścisłe i przyrodnicze. Kontynuowano też w niej nauki wojskowe, a kapitan Gościmiński był instruktorem musztry.

Od 1. października r. 1850 szkoła przeniosła się na boulevard Montparnasse 129. Tytuł zakładu był powodem nieporozumień: sfery niewtajemniczone wyobrażały sobie, że szkoła przygotowawcza jest zakładem niższego rzędu. Wobec tych niedogodności zakład przybrał miano S z k o ł y w y ż s z e j p o l s k i e j, zresztą prócz nazwy nic się nie zmieniło.

Szkoła mieściła się w lokalu obcym, ciasnym i ubogim, za który musiała płacić czynsz wygórowany, pochłaniający znaczną część jej dochodów. Wtedy to Rada szkoły pomyślała o własnym domu i odezwała się w r. 1850 w tym celu do publiczności polskiej z prośbą o potrzebne fundusze. Wykonanie tej myśli, to jest zebranie potrzebnej sumy i wzniesienie budowli polecono księciu Władysławowi Czartoryskiemu. Nie czekając na składki, książę zakupił grunt za własne pieniądze i zaczął budowę. Do zbierania składek zorganizowała się Komisya składkowa, złożona z Teodora Morawskiego, jako prezesa oraz z członków Stanisława hr. Małachowskiego, Eustachego Januszkiewicza i Waleryana Kalinki. Koszta zapreliminowano na 200.000 fr. Zbieranie składek szło opor-

niej aniżeli się spodziewano. Uważano za rzecz chwalebną, że emigracya organizowała u siebie instytucye naukowe, lecz uważano za zbytek, że budowała dla nich domy, kiedy przecież trwanie każdego wychodźctwa jest z natury swojej czasowe.

Skutek odezwy z r. 1850, odwołującej się do ofiarności społeczeństwa na rzecz szkoły, był mimo pewnej opozycyi dość pomyślny. Rada oświadczała głęboką wdzięczność wszystkim dobrodziejom a zwłaszcza „tej zacnej Polce, która w trudnem położeniu znacznem wsparciem przyszła w pomoc; i tej drugiej szlachetnej dobroczynnej osobie, która ciągle corocznym znakomitym darem znacznie się przyczynia do utrzymania Instytutu“. Rada pragnęłaby wymienić nazwiska ofiarodawców, ale musi szanować tajemnicę osób, które chcą mieć tylko Boga za świadka dobrodziejstw swych.

Uzbierana składka przyniosła ostatecznie zaledwie tyle, ile potrzeba było na przeprowadzenie, instalacyę i urządzenie wewnętrzne szkoły. Grunt i dom był własnością ks. Wład. Czartoryskiego.

W pazdzierniku 1859 r. przeniesiono szkołę do nowego gmachu boulevard Montparnasse 68, gdzie pozostała, nosząc miano Montparnaskiej, prawie do samego końca swego bytu. Wyprowadzono ją ztąd po utracie połowy subsydyów rządowych do gmachu Biblioteki polskiej na Quai Orléans, a gmach własny na Montparnasse wynajęto, aby dochodami z niego pokryć niedobory. Jednocześnie zamieniła się z internatu na eksternat, przyczem jednak program nauk nie uległ zmianie.

Głównym i prawie wyłącznym celem szkoły wyższej polskiej było przygotowanie młodzieży polskiej do egzaminów wstępnych do francuskich szkół specyalnych: do szkoły architektury, górnictwa, inżynieryi cywilnej, do szkół wojskowych itp.

Szkoła przyjmowała młodzież polską emigracyjną i przybywającą z Polski do Francyi dla studyów. Młodzież emigracyjna opłacała w niej według możności koszta utrzymania i nauki; ubogich przyjmowano bez żadnej opłaty. Przybywający zaś z Polski znajdowali w niej opiekę i możność odbycia nauk kosztem jak najumiarkowańszym.

W szkole były trzy kategorye uczniów: miejscowi czyli interni, mieszkający w zakładzie, przychodni (eksterni) i wolni słuchacze.

Na uczniów miejscowych i przychodnich przyjmowani byli tylko ci, którzy złożyli poprzednio egzamin wstępny lub przedłożyli odpowiednie świadectwo na dowód, że są dostatecznie przygotowani do słuchania nauk wykładanych w szkole. Wolni słuchacze nie składali żadnych egzaminów ani przy wstępie do szkoły, ani w czasie pobytu w szkole.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie

w r. 1906.

(Notatki turysty).

Główne uroczystości Rembrandtowskie z powodu 300-letniej rocznicy [1]) urodzin wielkiego mistrza obchodzono w Amsterdamie, lecz i miasto Lejda, w którem Rembrandt ujrzał światło dzienne, zapragnęło również uczcić tę rocznicę, chociażby w sposób nieco skromniejszy. To też w mieście tem, ładnem i ruchliwem, odbyły się w dniach 13. i 14. lipca 1906 r. przeróżne festyny, a wzięły w nich udział nawet głowy ukoronowane Holandyi: Królowa-matka i książę Henryk, mąż, jak wiadomo, dzisiejszej królowej Wilhelminy. Był tam kiermasz historyczny, koncert w kościele i w jednej ze sal klubowych miasta, korowód wieczorny gondoli oświetlonych na Renie z towarzyszeniem chórów śpiewackich i ogni sztucznych, — wreszcie uczta. Było przedewszystkiem uroczyste odsłonięcie pomnika Rembrandta i otwarcie wystawy Rembrandtowskiej.

Wszystkie te wstępne uroczystości, obliczone na szerokie warstwy ziomków gienialnego artysty, tak zawsze podobne do siebie, nie pociągały mnie wcale. Natomiast zaraz po ich ukończeniu, pospieszyłem z Scheveningen, ażeby zobaczyć pomnik

---

1) Rembrandt urodz. w r. 1606, um. w r. 1669.

Rembrandta i zapoznać się z wystawą, urządzoną na jego cześć. Do niej też wracałem potem niejednokrotnie.

Pomnik Rembrandta postawiono w pobliżu ulicy Weddesteeg i ulicy Rembrandtowskiej. Przy ulicy Weddesteeg — przypominam — stoi dom, w którym urodził się Rembrandt. Pomnik ten, bardzo małych rozmiarów,[1]) wykonał młody artysta, Dupuis z Hagi, znany także we Wiedniu, mieszkał tam bowiem i pracował przez kilka lat ostatnich. Na tle zieleni okazałych drzew, na marmurowym postumencie, wznosi się biust z bronzu. Wykonanie biustu wysoce artystyczne: Rembrandt w czapce, z charakterystycznymi u niego puklami włosów po bokach głowy, z obliczem, które opanowała jakby jakaś ogromna troska, uwydatniająca się bardzo silnem jego zmarszczeniem. Rembrandt przedstawia wprawdzie siebie z podobnem zmarszczeniem oblicza w kilku portretach z końca życia, lecz Dupuis zaznaczył je w swojem dziele tak ostro, że mimo niektórych szczegółów twarzy widocznie Rembrandtowskich,[2]) całość jest portretem nie rzeczywistym, lecz idealnym. Na taki idealny portret można zawsze zgodzić się, zwłaszcza jeżeli chodzi o ludzi wielkich i genialnych, byleby artysta zaznaczył wyraźnie w swojem dziele, co chce przez nie wypowiedzieć. Otóż u Dupuis'a, poza owem wspomnianem wyżej zmarszczeniem, a więc poza ową jakąś troską, przygniatającą artystę, nie można dojrzeć w twarzy ani jakiegoś błysku gieniuszu, ani czegoś, coby ten gieniusz bliżej charakteryzowało. I dlatego dzieło holenderskiego artysty, mimo opracowania na prawdę artystycznego, nie robi na widzu wrażenia.

Wystawę Rembrandtowską w Lejdzie urządzono w skromnych rozmiarach. Wspaniałą była, jak wiadomo, wystawa Rembrandtowska w Amsterdamie w roku 1898, niemniej wspaniałą była

[1]) Zapłacono też za ten pomnik niewielką sumę, bo 4 tysiące guldenów holenderskich (mniej więcej tyle, co 4 tysiące guldenów austryackich).

[2]) Nie wiem, czy dobrze odgaduję, ale zdaje mi się, że rzeźbiarzowi służył do p e w n e g o s t o p n i a za wzór własny portret Rembrandta, będący własnością księcia Buccleucha w Londynie. Reprodukcya w dziele p. t. „Klassiker der Kunst: Rembrandt. Mit einer biographischen Einleitung von A. Rosenberg. II. Aufl. Stuttgart und Leipzig 1906“, str. 343. W przyszłości wyraz reprodukcya będę znaczył R., to zaś wydanie Rembrandta: Rembrandt-Rosenberg. O ile na jakiejś stronicy będą dwie reprodukcye, zaznaczę: str. pr. = strona prawa lub str. l. = strona lewa.

w następnym roku takaż wystawa w Londynie. I komitet wystawy w Lejdzie, do którego wchodziły takie powagi w zakresie badań nad historyą sztuki, jak dr. Bredius, dyrektor królewskiej galeryi w Hadze, dr. Hofstede de Groot i dr. W. Martin, byłby, jak powiada wstęp do katalogu, najchętniej urządził wystawę, poświęconą jedynie dziełom Rembrandta. Komitet ten jednak nie przypuszczał wcale, ażeby udała się taka wystawa. Z jednej strony właściciele dzieł Rembrandta bardzo niechętnie przystają na rozstanie się z niemi, chociażby tylko czasowe, z drugiej komitet nie byłby wstanie zabezpieczyć wszystkich przysłanych obrazów w którejś z instytucyi asekuracyjnych na wypadek jakiegoś nieszczęścia, gdyż wymagałoby to niezmiernych sum pieniężnych. Wobec tego postanowiono wystawić jedynie dzieła mało znane dotychczas kołom szerszym, mało znane już to dlatego, że są własnością ludzi prywatnych, już dlatego, że odkryto je dopiero w latach ostatnich. Można zaś było wystawić te dzieła naturalnie o tyle tylko, o ile udało się wydostać je od właścicieli. Uzupełnieniem zaś obrazów Rembrandta miała być wystawa oryginalnych rysunków artysty i wystawa reprodukcyi wszystkich jego dzieł.

Miasto Lejda nie wydało większego mistrza sztuk pięknych nad Rembrandta, jak nie wydała większego cała Holandya. Urodził się tutaj i spędził pierwsze lata młodości, rozpoczynając swoją działalność artystyczną. Obok dzieł mistrza jednak, postanowił komitet urządzić również wystawę obrazów innych malarzy holenderskich, którzy w XVII. wieku pracowali w Lejdzie przez czas krótszy lub dłuższy, ale również wystawę tylko obrazów mało znanych (w kilku wypadkach odstąpił komitet od tej ogólnej zasady tak co do Rembrandta, jak co do innych artystów). Ta ostatnia okoliczność dodawała wystawie wielkiego uroku, zwłaszcza, że chodziło tu przeważnie o malarzy, zajmujących wybitne stanowisko w dziejach sztuki holenderskiej.

W jakimkolwiek zresztą stosunku pozostawała ta wystawa do całokształtu sztuki holenderskiej, nie zapominajmy, że posiadała ona wspaniałe tło w ogromnych i niezmiernie bogatych zbiorach Amsterdamu i Hagi, położonych tuż koło Lejdy, nie mówiąc już o zbiorach innych miast holenderskich. A dla nas Polaków poza ogólnem znaczeniem, miała jeszcze inne bardzo zajmujące. W liczbie 75 obrazów było tutaj 6 przysłanych przez polskich właścicieli, a pięć z nich z ziem polskich. Wymowne to świadectwo, że także u nas można znaleść więcej, niżbyśmy przypuszczali,

dzieł sztuki, wchodzących w zakres wielkiej sztuki europejskiej, nawet dawniejszej. Niestety daleko nam jeszcze do tego, ażebyśmy wiedzieli dokładnie, co posiadamy u siebie w domu.

I.

Jakże przedstawiał się sam Rembrandt na tej wystawie? Obejmował on trzecią jej część. 25 obrazów bowiem (w czasie, w którym zwiedzałem tę wystawę, było ich tylko 22) należało do mistrza. Ilość to zapewne nie wielka w stosunku do ogromnej liczby 600 dzieł, pozostałych po Rembrancie. Skoro jednak zważymy to, co powiedziałem na czele o celach i rozmiarach wystawy, to trzeba przyznać, że komitet dokazał wiele, gromadząc taką ilość Rembrandtów, a wśród nich, zobaczymy to zaraz, jaki dziesiątek znakomitych. A przysłużył się komitet może nie tyle specyalnym znawcom Rembrandta, ci bowiem zapoznali się niewątpliwie z tymi utworami wielkiego artysty już przedtem, u samych właścicieli, ile wykształconym kołom szerszej publiczności, które bez tej wystawy nie miałyby sposobności oglądać oryginałów tych właśnie utworów.

Rembrandt, jak wiadomo, malował ogromną ilość portretów własnych, malował także dużo portretów, przedstawiających jego rodzinę i jego otoczenie. Można było przekonać się o tem również na niniejszej wystawie. Obok dwóch czy trzech portretów własnych, mieliśmy tutaj dwa portrety matki, dwa ojca, portret brata, siostry, wreszcie dwa portrety Saskii, jego żony.

Zróbmy przedewszystkiem przegląd portretów własnych artysty. Był tu naprzód portret własny „z otwartemi ustami", jak go nazwali historycy sztuki, będący własnością księcia Andrzeja Lubomirskiego, ordynata na Przeworsku.[1]) Przedtem można go

---

[1]) R., o ile wiem, jest w ogromnem ośmiotomowem dziele Bode'go: Rembrandt (VIII. Band str. 60): Beschreibendes Verzeichniss seiner Gemälde Paris 1897—1906 i w L'Art flamand et hollandais, 15. octobre 1906, w którym to zeszycie jest artykuł Jana Veth'a: L'Exposition en l'honneur de Rembrandt a la Halle au drap de Leyde. Gdy zwiedzałem wystawę, portretu tego jeszcze nie było, składam więc księciu Andrzejowi Lubomirskiemu szczere podziękowanie za łaskawe zezwolenie oglądnięcia tego portretu w jego lwowskich apartamentach.

Dzieła Bode'go nie posiada żadna biblioteka naszego miasta. I nic dziwnego, dzieło to jest bardzo drogie, a biblioteki lwowskie są wogóle

było również oglądać na wystawie Rembrandtowskiej w Amsterdamie z r. 1898. Zarówno tam, jak i w Lejdzie, obudził portret ten wielkie zajęcie. Co więcej, na tej ostatniej wystawie nadarzyła się sposobność porównania go z takim samym portretem, pochodzącym z handlu Mullera w Amsterdamie. Przekonano się też wówczas w sposób niepodlegający żadnej wątpliwości, że portret, należący do księcia Lubomirskiego, jest oryginałem, ten zaś w Amsterdamie tylko kopią, chociaż dobrą i prawdopodobnie współczesną.

Portret lwowski przedstawia Rembrandta w wieku bardzo młodym, na co wskazuje już sama twarz (zdaniem Bode'go, dyrektora galeryi berlińskiej i jednego z najlepszych znawców dzieł naszego artysty, malowany w r. 1628 lub 1629), z ustami otwartemi. Głowa, okryta czapką, na tle zupełnie ciemnem, zwraca się ku stronie prawej.[1]) Ogromnie silny cień, odpowiednio stopniowany, pada na czoło, oczy i na prawą stronę twarzy. W tym cieniu można zaledwo odróżnić czoło od czapki, w nim też lewe oko patrzy na nas czarnym krążkiem, prawe tylko się zaznacza. Tem wdzięczniej za to po stronie lewej, oświetlonej, promienieje cera twarzy. Cera to delikatna, młodzieńcza, biała, z ledwie przebijającym się różem i bardzo leciutkim rumieńcem, z wargami mocno pąsowemi. Tyle jednak cieniu otacza głowę, że lekkie jego pajęczynki snują się nawet po tej jasnej części twarzy. Harmonijnie pod względem kolorytu uzupełniają to wszystko części ubioru, o ile naturalnie okazują się one w świetle: jakiś szal szarawo-stalowy tuż koło szyi, jak również pancerz stalowy, połyskujący tu i ówdzie i zarzucony na ciemno-oliwkowy kaftan.

Praca ta, jak wogóle pierwsze prace Rembrandta, odznacza się ogromnie troskliwem wykończeniem, niezwykle silnem przeciwieństwem między światłem i cieniem, a wreszcie, co nie zawsze zachodzi w tych pierwszych pracach, efektownym sposobem malowania. Obok tego uderza dobra plastyka twarzy, a zarazem umiejętność kładzenia cieniów o różnym stopniu natężenia.

Portret własny artysty, pochodzący z galeryi księcia Lichtensteina we Wiedniu, znanym jest z wielu reprodukcyi.[2]) Był on

---

niedostatecznie zaopatrzone w dzieła obce. Kilka notatek z dzieła tego zawdzięczam łaskawej uprzejmości p. dra Zygmunta Batoskiego w czasie jego pobytu w Berlinie i p. Tadeusza Blautha, słuchacza techniki we Wiedniu.

[1]) Stronę obrazu oznaczam zawsze ze stanowiska widza.

[2]) R. Rembrandt-Rosenberg str. 112 str. pr.

malowanym w r. 1635, a więc w czasie, kiedy Rembrandtowi chodziło daleko więcej o sposób efektowny malowania, aniżeli o siłę w charakterystyce postaci i siłę wykonania, którą znajdujemy w jego późniejszych portretach. Podziwiać jednak należy w tym portrecie głowę nadzwyczaj delikatnie modelowaną, z twarzą o cerze jakby złotawej i oczach łagodnych: z oczu tych, pogrążonych (jak zresztą większa część twarzy) w lekko rzuconym od beretu cieniu, spogląda ku nam ogromna inteligencya: podziwiać należy odtworzenie wytwornego, bogatego stroju: ten płaszcz aksamitny, ciemno-popielaty, wyszywany suto złotem, na który tu i ówdzie światło rzuca swoje przejrzyste plamy, i ten pełen fantazyi beret czarny z dwoma białemi piórami, spiętemi kosztowną agrafą.

Czy portret młodzieńca, malowidło z r. 1631, był także portretem własnym Rembrandta, co do tego niema zgody u historyków sztuki. Za portret artysty uważa go Bode, [1]) katalog wystawy jednak nazywa obraz ten tylko portretem młodzieńca. Pozostawiając rozstrzygnienie sporu specyalistom, zaznaczę tylko, że pod względem sposobu wykonania jest on pokrewnym portretowi własnemu z galeryi księcia Lichtensteina, a więc również wielce efektowny i opracowany z ogromną starannością i wykwintnością pędzla. Młodzieńca przedstawił artysta do połowy postaci, w czarnym płaszczu, na którym zwisa złoty łańcuch, i w ciemno-fioletowym, prawie czarnym kapeluszu, podgiętym z fantazyą do góry, z piórem szarawem. Od tego zupełnie ciemnego stroju odbija bardzo silnie delikatna, różowa, cera twarzy i mocno pąsowe wargi. Większą część twarzy okrywa przejrzysty cień, najsilniejszy u góry, od kapelusza, na nieco małych, ciemnych oczach, wpatrzonych poważnie jakby w daleką przestrzeń...

Portret matki Rembrandta, malowany około roku 1628, znały już przedtem szersze koła publiczności. Właściciel jego, dr. Bredius, dyrektor królewskiej galeryi obrazów w Hadze, umieścił go już od dłuższego czasu w tejże galeryi. Znamy go zresztą również z reprodukcyi. [2])

Rembrandt nie przybrał tutaj matki w te bogate lub nawet fantastyczne stroje, w których przedstawia ją na innych portre-

---

[1]) Rembrandt in Bild und Wort, herausg. von Wilhelm Bode. Berlin, Bong, 1906 (tekst) str. 45. Jest tu reprodukcya tego portretu.

[2]) Rembrandt-Rosenberg str. 15, str. pr.

tach lub akwafortach, jak naprzykład na portrecie we Windsor Castle lub w cesarskiem Muzeum we Wiedniu. Wówczas musiał on nadawać jej twarzy odpowiednio do stroju wygląd wielkiej damy lub tej osoby, którą miała reprezentować. Tutaj jednak postać jej przedstawia się skromniej. Skromniej przedstawia się również futro czy okrycie ciemne, wyłożone futrem, jak niemniej czarny stroik na głowie. I wyraz twarzy odpowiada temu strojowi. Oto mamy przed sobą twarz kobiety starszej, pooraną tu i owdzie zmarszczkami, którą powleka coś na kształt rumieńca, owo lekkie zaczerwienienie, tak charakterystyczne niekiedy u ludzi wieku starszego. Twarz to pełna wyrazu. Długie życie rzuciło na nią odcień głębokiej melancholii, dało oczy zaczerwienione i spojrzenie pełne smutku. W takiej twarzy można czytać dzieje przeszłości, wypełnione troską i bolesnemi przejściami. Słowem, portret ten, to rzecz ogromnie zajmująca. Była tutaj również kopia tego portretu.

Portret ojca w czapeczce — to znowu dzieło artysty więcej znane. Podobnie jak portret matki, własność dra Brediusa i umieszczony w królewskiej galeryi obrazów w Hadze,[1]) należy także do wczesnych prac Rembrandta, powstał bowiem około roku 1629, a więc na rok przed śmiercią ojca. W czarnej czapeczce na głowie, we futrze, z twarzą ozdobioną wąsami i małym zarostem, najwięcej zbliża się ta postać ojca pod względem podobieństwa do potretu jego w galeryi kasselskiej. Ta sama tam czapeczka, tylko nasunięta więcej na tył głowy, ten sam kostyum i podobny wygląd twarzy. Na portrecie jednak dra Brediusa jest on o wiele przyjemniejszym i inteligentniejszym. Jakiś poważno-bolesny wyraz spoczął na tej bladej twarzy (ojciec Rembrandta był człowiekiem chorowitym), w tem zmarszczeniu czoła, w tych oczach, przejętych jakby ogromnie wymowną troską. Pędzel mistrza wydobył to wszystko nadzwyczajnie starannem opracowaniem charakterystycznych szczegółów, które podniosłem wyżej, przedewszystkiem zaś oczu.

Obydwa te ostatnie portrety, a więc poprzednio omówiony portret matki, jak i ten ojca, należą do dzieł najwcześniejszej twórczości artysty, pochodzą jeszcze z czasów pobytu artysty w Lejdzie. Nie mają one tej siły w użyciu środków technicznych i w wykonaniu, którą rozwinął Rembrandt w późniejszych swoich

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg str. 18, str. 1.

dziełach, nie mają nawet tej efektownej barwności, tego przepychu w ubiorach, który cechuje portrety mistrza przedewszystkiem z pierwszych lat jego pobytu w Amsterdamie, a więc po roku 1631, odznaczają się one natomiast znakomitym wyrazem twarzy, co jest charakterystycznem u Rembrandta już w tych czasach. Portrety te są zarazem pysznemi studyami psychologicznemi.

Katalog wystawy wymieniał jeszcze drugi portret ojca Rembrandta, tym razem w stroju wschodnim. Zdaniem jednak Vetha nie przedstawia obraz ten wizerunku ojca artysty, uległ też według niego takiemu przemalowaniu, że trudno dociec, co właściwie pozostało tutaj z pędzla Rembrandta. Nie będę więc o nim dłużej mówił — wystarczy, że to zaznaczę.

Spuścizna artystyczna mistrza wykazuje kilka pysznych portretów brata jego, Adryana, że tylko wspomnę portrety w galeryach berlińskiej i haskiej. Był również tutaj jego portret, własność Mikołaja hr. Potockiego w Paryżu,[1]) nie tak efektowny, jak znany portret berliński w hełmie, niemniej wspaniały okaz Rembrandtowskiej twórczości. Przypomina on najbardziej portret brata w Hadze, przedstawia go również w starszym wieku, z siwiejącym włosem. Gdy jednak tamten odznacza się nadzwyczajnie plastycznym sposobem malowania, jest jakby rzeźbionym, co charakteryzuje obrazy Rembrandta zwłaszcza z ostatnich lat życia, nasz portret jest malowidłem zupełnie gładkiem, całem w tonie jasno-brunatno-złotym. Ton ten stanowi tło, na którem artysta opracowuje szczegóły zapomocą odpowiednich cieniowań. To też daje nam głowę znakomicie kształtowaną, oczy przedziwne, pełne melancholii, nadające spojrzeniem swojem wielce charakterystyczny wyraz całej twarzy. Portret ten był jedną z największych ozdób wystawy w Leidzie.

Portret siostry Rembrandta (podobnie, jak poprzednio autoportret, z galeryi Lichtensteina we Wiedniu) malowany w roku 1632,[2]) uderza nagzwyczajną elegancyą wykonania. Cały w tonie złotym, a więc ma odcień złotawy i twarzyczka z bardzo bladziutkim rumieńcem, owiana cichą zadumą, której źródłem są znowu oczy, — i złotawemi są śliczne kręcone włoski na głowie. Cacko to w swoim rodzaju. Tylko, ile razy w nie się wpatrywałem, zdawało mi się zawsze, że ta przedziwnie wykwintna forma

[1]) Reprodukcya w katalogu ilustrowanym wystawy i wymienionym już zeszycie L'Art Flamand et Hollandais.

[2]) Rembrandt-Rosenberg str. 48, str. 1.

wybija się na plan pierwszy, że poza nią twarzyczka jest nieco zimną, nie tętni zupełną pełnią życia. Ślicznie wypadły akcesorya: czarna suknia ze złotemi u góry haftami i biała szlarka około szyji.

A jeżeli mowa o rodzinie Rembrandta, to czyżby nie było tutaj jego żony Saskii? Wszakże mistrz pozostawił nam tyle jej wizerunków w obrazach olejnych, akwafortach i rysunkach. I owszem, według katalogu przedstawia tutaj artysta Saskię w dwóch obrazach. Na jednym z nich, małych zresztą rozmiarów, występuje w całej postaci, z listem w ręku; na drugim występuje jako Flora.

Czy portrety te przedstawiają rzeczywiście Saskię? Oto pytanie, które należy sobie przedewszystkiem zadać, jak zawsze wówczas, gdy chodzi o portrety osób z rodziny Rembrandta. Odpowiedź na nie jest rzeczą trudną, musimy bowiem dochodzić, jak właściwie wyglądała Saskia, skoro wiemy, że Rembrandt zmieniał nieraz bardzo wygląd postaci przez siebie portretowanych, przedstawiając je w coraz to innych pozach i oświetleniach, a zarazem w najrozmaitszych fantastycznych kostyumach. Jeżeli chodzi o żonę Rembrandta, badacze jego życia i dzieł wskazują na rysunek z roku 1633, znajdujący się w berlińskim gabinecie sztychów, jako na wierny wizerunek Saskii, podówczas jeszcze narzeczonej. Rysunek mistrzowski co do wykonania, twarz jednak nie wiele mówiąca.[1]) Mogą nam w tym względzie przyjść również z pomocą akwaforty artysty, które u niego odznaczają się zawsze większem zbliżeniem się do rzeczywistości, aniżeli obrazy. Między niemi jest jedna z tego samego roku, z którego pochodzi ów berliński rysunek. Pyszna to pod każdym względem robota: Saskia w pozie siedzącej, z głową opartą na prawej ręce, z włosami rozpuszczonemi. Twarz pełna, bardzo poważnie zamyślona, oczy szeroko rozwarte, wpatrzone w dal. Jest w tem zamyśleniu jakiś wyraz wielce szlachetny.[2])

Zachowując powyższe szczegóły w pamięci, zwróćmy się ku wystawie w Lejdzie.

Otóż postać kobieca z listem w ręku, która znajdowała się tutaj, mogłaby przypominać Saskię. Przyjemnego jednak wrażenia Saskia ta nie robi. Pospolitą i zmysłową jest jej twarz blada, na

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg str. XIX.

[2]) Bode: Rembrandt in Bild und Wort, str. 42.

policzkach tylko nieco zarumieniona. Gdyby to była rzeczywiście żona artysty (a na to nie wszyscy się zgadzają), to nie chodziło mu wcale o wydobycie z tej twarzy nuty szlachetniejszej, jak na portrecie londyńskim Mrs. Joseph'a lub na portrecie w Altfranken, hr. Lucknera. Dodajmy do tego, że wspaniały kostyum pod względem wykonania zwraca więcej uwagę, aniżeli oblicze.

Katalog wystawy wymienia jeszcze drugi wizerunek Saskii, wizerunek w postaci Flory. Powiem zaraz, że jest to z małemi zmianami ten sam obraz, który przedstawia Florę w Eremitażu petersburskim.[1]) Podobieństwo jest zarówno w twarzyczce, jak w ubraniu głowy kwiatami i w barwie sukni. Różnica zaś ta, że nasza Flora ma główkę zwróconą w stronę prawą i ma twarzyczkę o wiele milszą. Powstały też obydwa obrazy mniej więcej w tym samym czasie, w latach 1633—1634. Dlaczego one mają przedstawiać Saskię, nie wiem, trudno bowiem dopatrzeć się podobieństwa między żoną Rembrandta a temi Florami. Ta Flora z Lejdy jest pod względem kolorytu jednym z oryginalniejszych utworów Rembrandta. Obraz to o bardzo jasnych barwach. Na tę jasność wszystko się w nim składa. I twarzyczka o rysach drobnych, biało-różowa, z silnie zaznaczającymi się rumieńcami i długa, ślicznie malowana szyja, tem dłuższa, że suknia około niej, zwłaszcza z przodu, jest wycięta, i zabarwienie sukni srebrno-popielate, przetykane złotem, i wreszcie wieniec z barwnego kwiecia na głowie. W wykonaniu wytwornego stroju bogini kwiatów znać pędzel Rembrandtowski, twarzyczka ma w sobie wiele miłego wyrazu, ma jednak zarazem jakieś porcelanowe połyski, jakiś sztuczny róż twarzy, słowem, jest nienaturalną.

Z poza rodziny były na tej wystawie dwa portrety kobiece, Petronelli Buys i Katarzyny Hooghsaet. Obydwie damy we współczesnych kostyumach holenderskich, w sukniach czarnych, od których odbijają tem bardziej białe ozdoby: ogromnie szeroka, rurkowana kreza około szyji, u pierwszej z tych dam, i szeroki, wykładany kołnierz u drugiej. Wiadomo, że artysta nie zawsze chętnie podejmował się portretów zamówionych. Nie zawsze osoby chcące mieć swój portret, odpowiadały jego artystycznym zamiarom i wyobrażeniom, czy to swoim wyglądem, czy to stawianiem jakichś wymagań, które z artyzmem nie miały nic wspólnego, które i owszem, były dla tego artyzmu przeszkodą i zaporą. Swobodę

---

[1]) Reprodukcya obrazu petersburskiego Rembrandt-Rosenberg, str. 133, str. pr.

i pomysłowość artystyczną tamował także ówczesny strój holenderski, u pań taki, jaki znajdujemy na tych dwóch naszych postaciach, u panów również czarny, z wyłożonymi, szerokimi, białymi kołnierzami lub krezami i z czarnymi, wielkimi, kapeluszami na głowie.

Uwagi powyższe mogą stanowić punkt wyjścia przy ocenie dwóch tych kobiecych portretów. Portret Petronelli Buys [1]) powstał w pierwszych latach pobytu Rembrandta w Amsterdamie (1635). Malowidło gładkie i eleganckie, wyborna charakterystyka twarzy, lecz obraz mało nas zajmuje, bo nie jest zajmującym sam model. I zapewne ten model był powodem, że przypatrujący się portretowi mówi mimowoli do siebie: Rzecz znakomitego talentu, ale jeszcze nie to, na co stać Rembrandta! Natomiast drugi portret, portret Katarzyny Hoogsaet (1657) [2]) uważają wszyscy za arcydzieło w swoim rodzaju. Model znowu dla artysty niezbyt wdzięczny, Rembrandt jednak — jak mówi słusznie Veth — okazał się tutaj właśnie dlatego wielkim mistrzem, że dał w obliczu i postawie świetną charakterystykę takiego modelu. Patrzymy na pewnego rodzaju zakłopotanie kobiety, której rysy nie wskazują na wielką inteligencyę, wobec portretującego artysty. Wzmacnia to wrażenie ogólnej charakterystyki dzielność pędzla w wykonaniu szczegółów, znakomite oddanie cery twarzy osoby 50-letniej, kostyumu, przepysznego dywanu, zdobiącego stół.

Kończy ten szereg portretów osób znanych lub rozpoznawanych z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem, szkic, przedstawiający Jana Sixa, [3]) uczonego i poetę, później burmistrza antwerpskiego. Przepiękny portret tego Sixa, znajdujący się teraz w prywatnej galeryi Sixów w Amsterdamie, malował Rembrandt w r. 1654. Obrazek niniejszy jest natomiast studyum wstępnem do cudownej wprost akwaforty z roku 1647, w której wzbudza nasz podziw zarówno pomysł portretu, jak wykonanie i wykończenie. Tam też, w akwaforcie, wprowadził artysta pewne zmiany co do samego pomysłu. Tutaj stoi Six przy oknie, w jasnobrunatnawym surducie, z książką w ręku, nie czyta jej jednak, jak na akwaforcie, lecz tylko rozmyśla o niej. Światło wpadające przez okno oświeca górną połowę postaci Sixa, miejscami także

---

[1]) Repr. w katalogu wystawy i w L'Art Flamand et Hollandais, gorsza reprodukcya Rembrandt-Rosenberg, str. 142.

[2]) Rembrandt-Rosenberg, str. 319.

[3]) Rembrandt-Rosenberg, str. 236, str. 1.

pokój, zresztą zupełnie ciemny. Wszystko tu wskazuje, że jest to tylko podmalowany szkic. I niewykończona twarz uczonego, gubiąca się w rysach ogólnych i niewyraźnych, i zaznaczone tylko, a nie wykończone włosy, długie, rudawe, spadające aż na ramiona. To samo również można powiedzieć o ubiorze, o ile widać go w świetle, i o małym widoczku, rozpościerającym się za oknem.

Bronisław Czarnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V

Wycieczka do Rio Negro, Luceny, Rio Claro i Mateusza.

22.—26. października. — Kurytyba. Lapa. Rio Negro.

Po krótkim pobycie w stolicy Parany wypadła mi znów inna podróż do miasteczka Rio Negro.

Znów dojechałem koleją 22. paźdz. około 1-szej w południe do stacyi rozdrożnej Serrinha (wym. Serrinia), wyruszywszy z Kurytyby o 8-ej rano tegoż dnia. Zamiast jednak, jak przed tygodniem na zachód do Restingi lokomotywa poniosła mnie na południe przez most po rzece Iguassu w stepy lekko wzgórzyste.

Kolej od Serryni, jak zwykle, kręci się wężykowato. omijając pagórki. Otwierają się wtedy jadącemu widoki rozległe. Jak okiem sięgnąć, widać tylko step nieskończony, niską trawą porosły, po której pasie się bydło. Od czasu do czasu maszyna gwiżdże

przeraźliwie i zwalnia swój bieg: nastrasza ona w ten sposób gromady bydła, które się kładzie na szynach, czasem tak bezskutecznie, że pociąg musi stanąć i ktoś dopiero, zeskoczywszy z niego, spędza je z szyn. Często pociąg goni cielęta, byczki i jałoszki, uciekające uporczywie po torze kolejowym. Widać te sceny z okna kolejowego, bo prawie niema miejsca, gdzieby się kolej nie wiła na wszystkie strony.

Cień pociągu znajdował się po jego to prawej, to lewej stronie i widać było sylwetki służących kolejowych chodzących, biegających i figlujących na dachach wagonów. W wagonie 1-ej klasy jechał zemną urzędnik brazylijski do kolonii Luceny na posadę dyrektora tamże. Miał różne dobre rzeczy w kuferku, zwłaszcza znakomity likier; wedle zwyczaju tamtejszego, poczęstował mnie, choć nieznajomego. Zapijając pocieszycielkę, miał minę bardzo poważną i skupioną. Zabierał się do każdej lampki jakby do modlitwy. Ze swoją brodą, brzydką twarzą i ascetyczną postawą, robił wrażenie derwisza, czy czarodzieja, odprawiającego jakieś religijne czy dyabelskie obrządki.

Minąwszy stacyę Kapiwari, (zwanej od zwierza, rodzaju świnki rzecznej tej nazwy), dojeżdża się do miasta Lapy. Wokoło niego porozrzucane jest mnóstwo kości bydlęcych i ludzkich. Lapa stała się pamiętną z walk, jakie ją zakrwawiły niedawno w latach 1893 i 1894. Powstańcy oblegali miasto, rządowcy bronili się mocno przez kilka miesięcy i wytrwałą obroną uratowali rządy Floryana Peiszoto w Brazylii. Albowiem gdyby nie konieczność zdobycia tego miejsca, powstańcy, przybywszy jak zdobywcy ze stanu Rio Grande do Sul, bardzoby się wzmocnili przyłączeniem się zwolenników swych parańskich i poszliby w zwycięzkim pochodzie dalej na północ, aż do Rio de Janeiro, gdzie wszędzie ludność na nich czekała, a rząd nie przygotował obrony. Zginął tam po stronie rządowej komendant Carneiro. W szeregach po obu stronach walczyli Polacy, głównie po stronie powstańczej, oblegającej. Św. pamięci Jan Kośmiński i Dąbrowski w kilku swoich zuchów ostrzeliwali pozycye nieprzyjacielskie i udawali atak wielkiej siły zbrojnej. Rządowcy opuścili Lapę, a po upadku powstania, znów weszli do niej.

Miasto to jest w widocznym upadku, a właściwie powiedziawszy, nie rozwija się wcale. Zbudowanie kolei z Kurytyby do Rio Negro sprawia, że ruch handlowy kieruje się w inną stronę. Stara się ono przeto o skolonizowanie swych bliższych okolic i temu staraniu zawdzięczać należy utworzenie się kolonijki 25 rodzin

polskich pod nazwą Kontenda, obok wsi niemieckiej Mariental (100 rodzin Niemców z Rossyi). W lecie znajduje się tam ogromne mnóstwo wielkich i pięknych motyli.

W Lapie koncentruje się też ruch handlowy i ludnościowy kolonii nowej polsko-rusińskiej Agua Amarella (Woda Żółta), położonej o 12 mil. zkąd, jako do najbliższego miasta, przyjeżdżają wozami po zakupy lub też, aby tam zbyć płody rolne, herbatę Matę i t. p.

Za Lapą kolej żelazna przebiega okolice coraz więcej górzyste i lesiste aż do przystanku: Campo do Tenente (step lejtnanta), położonego całkiem w lesie sosnowym (araukaryjnym). Ztamtąd sprowadzają mnóstwo drzewa araukaryi do Kurytyby.

Około 4-tej przybyłem do miasteczka Rio Negro, kresu kolei parańskiej na południu. Niedawna osada o kilku domkach, Rio Negro, robi już wrażenie miasteczka. Wyprzedziło ono starodawne miasto Lapę pod względem ludności i ożywienia handlowego. Językami panującemi tam są: portugalski i niemiecki. — Polacy znajdują się w mniejszości, jako mieszkańcy stali, lecz wielu ich jest przejezdnyyh. W okolicy leżą mniejsze kolonie niemieckie, polskie i niemiecko-polskie. Od miasta Rio Negro zaczyna być spławną rzeka tej samej nazwy.

27. października do 4. listopada. — Wycieczka do Luceny. Węgrzynowski. „Miasto". Wychodźcy nasi wyczekujący ziemi. Kościół i ks. Iwanów. Spór z „miastem". Butukudy (Bugry).

Po kilku dniach pobytu gościnnego u ks. Petersa, światłego kapłana polskiego w Rio Negro, udałem się wozem do Luceny, kolonii położonej o 40 kilometrów ztamtąd na południe. W końcu 1895 r. jeszcze nie było mostu na rzece Rio Negro: przebywało się ją promem. Droga do Luceny z drugiej strony rzeki idzie początkowo wśród dość licznych domostw, świadczących o zaludnianiu się okolicy podmiejskiej. Droga jest szeroka, wozowa, wygodna; uczęszczana ziemia, po której przechodzi, już należy do ludzi prywatnych. Rząd stanowy wyprzedał ją wszystką.

Widoki są rozległe po obu jej stronach: dostrzegasz wyniosłe wzgórza, porosłe lasem sosnowym. Podziwiałem w niektórych miejscach szczególnie bujną roślinność, prawie fantastyczną. Wybujałość ta miała cechy nielitościwej walki o byt. Jedna roślina wyrasta nad drugą i dusi ją w swych splotach. Botanik fachowy

stwierdziłby niezawodnie to określenie. Na oko wydają się wszystkie trawy, trzciny, krzaki liany (powoje drzewne) i drzewa, jakby tłumy dzieci, dorosłych i starców, prześcigających się bezładnie w pogoni za słońcem i życiem. A była to pora roku najwięcej urocza: koniec wiosny i początek lata, niby koniec maja europejskiego.

Po przejechaniu okolicy pustej spotykam znów gęste domostwa, wytrzebione lasy, ludzi po drodze. Zgaduję, że to życie znamionuje początek kolonii Luceny. Dojeżdżam do zarodku miasta, złożonego z kilku sklepów, zabudowań rządowych, szkoły, budującego się kościoła, browaru i t. d. W przemyśle i handlu górują Niemcy. Ze sklepów polskich bodaj najważniejszy jest p. Węgrzynowskiego, galicyanina. Jego gościnność polska ledwie puściła mnie w dalszą drogę do księdza Iwanowa, mieszkającego o milę dalej. Zaopatrzył mnie w wiadomości o kolonii Lucenie i w pomoc przy jej objeżdżaniu... pożyczył mi koni i sam był mi przewodnikiem aż do jej krańców, najdalej posuniętych.

Tuż za „miastem" czyli raczej zarybkiem miasta Luceny, znajdowały się „hotele" emigranckie. Ludzie nasi wyczekiwali, aż im zostanie ziemia wymierzona i oddana w posiadanie. Oczekiwanie takie jest bardzo demoralizujące. Rząd nie mógł się spieszyć, bo wyczerpały go rewolucya i zła administracya; przeto niezbyt regularnie dostarczał im żywności. Wychodźcy zaś, wiedząc, że im rząd jest obowiązany jej udzielać, nie chcieli iść na robotę, by nie utracić tych alimentów, które im przychodziły bez pracy. Cierpieli głód z zaciekłem uczuciem krzywdy. Byli to Rusini i Polacy z Galicyi wschodniej, żywioły nie mające tej energii i pracowitości, jaką odznaczają się Mazury Galicyi zachodniej.

Wielu wprawdzie skwitowało z dobrodziejstwa rządowego i najlepiej na tem wyszło, bo znalazło robotę w Lucenie samej przy powstającym przemyśle tartakowym albo przy kolejach żelaznych. Wielu też zamieszkało przy rodzinach dawniej osiadłych kolonistów z Królestwa, którzy trudniejsze mieli początki i którym brakowało oparcia, jakie znaleźli obecnie Galicyanie.

Ci byli w części dobrzy moi znajomi, gdyż przebywaliśmy wspólnie ocean na statku „Alacrita". Uważali mnie niestety za cudotwórcę, który potrafi zmienić ich położenie: zdawało im się, że mogę od rządu wyjednać dla nich wszystko, co chcą, z powodu, że istotnie udało mi się parę razy pomyślnie załatwić im kilka drobnostek w Kurytybie. Przy takiem ich usposobieniu, gdy wypadło coś niepomyślnego dla nich, zdawało im się, że mógłbym

był ja do tego nie dopuścić: dobre zaś niejedno, które spłynęło na nich, poszło na mój rachunek, jak np. przybycie rzeczy podróżnych, które uważali za stracone.

O 7 czy 8 kilometrów od „quadro urbano“ jest oddalony kościół w miejscu, które najwięcej zasługuje na miano środka kolonii Luceny; albowiem kolonizacya głównie w tamtym południowym kierunku się szerzy. Postanowiłem odwiedzieć tam ks. Iwanowa. Niezwłocznie wyjechałem w dalszą drogę. W miarę oddalania się od miasta, droga staje się coraz trudniejszą do przebycia: powozem jechać trzeba coraz wolniej i uważniej.

Przybywszy na miejsce, ujrzałem skromny kościółek drewniany, budującą się plebanię i kilka zabudowań, w których było parę karczm (wend). Jest wszakże zarodek skromny drugiego miasteczka.

Obecnie leży w interesie kupców, żeby główny kościół z mieszkaniem proboszcza był w „mieście“ a nie w miejscu, gdzie się obecnie znajduje. Walny to jest interes miejscowy, zwłaszcza w dnie nabożeństwa, kiedy tłumy ściągają do kościoła.

Ks. Aleksy Iwanow jednak wcale nie myśli przenieść się, uważając, że dla ogółu kolonistów wygodniej jest, żeby kościół był w samem środku osady Luceńskiej. Woli przeto uporczywie znosić biedę na pustkowiu, niż opływać w wygody a zależeć od „mieszczan“ i różnych względów w „miasteczku“.

Zastałem ks. I. w skromnem mieszkaniu a właściwie w prowizorycznej chatce; w miejsce tejże dopiero powstanie plebania.

Widoki z kościoła i pobliża jego, należą do wcale ładnych. W rozległej panoramie na wsze strony zarysowują się wyraźnie lub w przezroczej mgle, wysokie pagórki falowate z łagodnemi pochyłościami i obszernemi dolinami. Krajobraz przypomina Podkarpacie: wszystko pokrywa bór: w nim króluje gruba i wysoka sosna araukarya.

Czasem na dalekim widnokręgu widać wznoszące się dymy, jak ofiary Abla; są to ogniska Botukudów, najdzikszego szczepu indyjskiego. Koloniści nasi są wystawieni czasem na ich napady. Winien temu rząd, bo ich osiedla na cmentarzyskach butukudzkich, nie troszcząc się o kult przodków u dzikich. Zginęła w ten sposób rodzina Przybylskich w 1892 r., wycięta w pień podczas roboty w południe. Przy karczowaniu lasu za daleko się odbiła od reszty towarzyszy. Nie zważał nikt z niej na to, że przez kilkanaście dni co dzień sznurek powoju (ljany), zagradzał mu drogę

zawsze w jednem miejscu obok źródła. Było to ostrzeżenie dzikich. Zginęło też dwoje dzieci, których zastali dzicy w domu Przybylskiego i zamordowali. Równocześnie skradli worki, wysypując z nich mąkę i ziarna, nie wiedząc co z tą zawartością zrobić. Uchodząc z mieszkania, spotkali się z kolonistą, sąsiadem Przybylskich i w chwili, kiedy tenże zamierzył się na jednego Butukuda, drugi dzikus wypuścił strzałę, która przeszyła podniesioną dłoń kolonisty. Ten, by strzałę wyjąć, złamał ją w pół. Jest ona w posiadaniu ks. Petersa.

Wogóle jednak, napady są rzadkie i nie odstręczają kolonistów naszych od nabytych w głębi boru działów. Napady te mają miejsce tylko na krańcach osady, głównie na ulicy Moema, najbardziej posuniętej na południe.

W innych miejscowościach jeden taki napad wyludnia kolonię: np. w Grâo Para, w stanie Santa Catharina, osadnicy polscy w $^3/_4$ wywędrowali skutkiem tego do Rio Grande do Sul. Dzieje się inaczej na Lucenie. Obszar kolonii tej jest tak wielki, że na innej ulicy niż Moema, nikt nic nie wie o Bugrach i dowiadują się o nich dopiero z opowiadania i pism.

Ziemia jest tam wszędzie znakomita, okolica górzysta bardzo piękna i dzika, roślinność zaahwycająca, klimat nie tylko zdrowy lecz wprost kuracyjny. Ulica Moema o najbujniejszej wegetacyi wciąż się przeto wydłuża. Amatorów osiedlenia się na niej nie brak, mimo postrachu napadów bugerskich.

5. listopada. — Po rzece Rio Negro. Komary. Nocleg.

Po powrocie z Luceny do Rio Negro, zostałem łaskawie zaproszony przez ks. Petersa, aby towarzyszyć mu w jego objeździe parafii, rozległej jak dyecezya europejska.

Wyjechaliśmy rano o 9-tej małym parowcem, należącym do Niemców ze Santa Catharina. Usiłowali oni przedtem przebiegać rzekę Rio Negro z chorągwią i szyldem kompanii stanu Catharina. Rząd Parański sprzeciwił się temu energicznie, bo krajem tym po obu stronach rzeki Rio Negro faktycznie włada, mając tam w swym ręku administracyę i władzę wykonawczą. Jechaliśmy tedy bez tych oznak na małym parowczyku, nie grzeszącym wogóle zbytniemi wygodami. Męczący i jednostajny stuk maszyny i kół, osładzały tylko urocze krajobrazy nadbrzeżne. Z początku brzegi były wysokie i gęstemi krzakami porosłe. Po nad rzeką

i krzakami przelatywało ptastwo mi nieznane. Niektóre gatunki czarnych kaczek pływały zanurzone całkiem w wodzie tak, że tylko widać było ich dziób i szyjki. Za zbliżeniem się parostatku zrywały się z wody.

Rzeka Rio Negro podobna jest do rzeki Iguasu. Brzegi jej tylko wydały mi się wynioślejsze od Iguasowych. Kręci się ona jeszcze gwałtowniej od kolei żelaznych parańskich. Np. wysiedliśmy w południe przy połamanej dziwacznie araukaryi i o jakie 50 kroków od brzegu doszliśmy do tej samej rzeki, Rio Negro. płynącej w kierunku przeciwnym. Po dwóch godzinach jazdy, dość szybkiej z prądem wody, ujrzeliśmy tę samą araukarye, lecz po prawej stronie zamiast po lewej. Dwie godziny pędzenia parostatkiem, by posunąć się naprzod o 50 kroków. było niemal drepceniem na miejscu.

Po brzegach unosiły się, jak przezroczyste chmurki, ogromne roje komarów, chciwych krwi ludzkiej. Są to owady przeważnie szare, niektóre złotawe, nie tną gorzej od naszych i jest ich takie mnóstwo, że setkami cisną się na każde obnażone miejsce ciała. Wielkości są różnej; niektóre długonogie, zwane z tego powodu po portugalsku pernaslongas. Niepodobna się obronić od nich. Zabijesz kilkanaście klapsem, zaraz drugie tyle leci na czerwoną krew twoją, wytoczoną przez pierwszych. Ciągle musisz mieć ręce w kieszeni i chustką zakrywać głowę, albo uderzać nią bezustanku po sobie, jsk opętany.

Jest to taka sama plaga, jak na Pińszczyźnie, z tą różnicą. że Pińczuki radzą sobie jakiemiś grzybami, które suszą i noszą dymiące w torbie przy sobie; od takiego dymu, pono nieszkodliwego dla ludzi, uciekają komary. Tak daleko nie posunięto się w Brazylii. Gdy zasypiasz, muzyka, jakby miliona cichych cytr, a jeszcze lepiej ukąszenie, spędza ci sen z powiek; całe szczęście. że to nie codzień i nie wszędzie jest się nawiedzanym w sposób tak nachalny; np. wieczorem około 7-ej, przybiwszy na noc do lewego brzegu, wolni byliśmy od nich.

Znajdowała się w pobliżu karczma, do której zaszła służba okretowa. Ks. Peters nie doradzał iść za ich przykładem. Wyszliśmy na tem znakomicie: wiara bowiem struła się jakiemś piwem cholerycznem. Przeważną część nocy czuwaliśmy; lecz nie z powodu komarów, ale dzięki ciągłej wymianie myśli. Przeważnie słuchającym byłem ja. chwytając chciwie każde słowo miodopłynnego ks. proboszcza. Był to wykład uniwersytecki o stosunkach

parańskich. Jak wszystko na świecie, tak też i rozmowa skończyła się, zwalczona przez Morfeusza, lecz dopiero około 3-ciej godziny rano.

Zasypiając, słyszałem charkotanie mnóstwa świnek rzecznych, zwanych kapiwari; dobywały się te głosy zewsząd z krzaków i traw obu brzegów i wysepek sterczących wśród rzeki. Słabe światło księżycowe i powstające mgły przy niem mogłyby były usposobić duszę poetyczną do widzeń dantejskich.

6. listopada. — Ujście Ria Negra i Putingi do Iguasu. Przypomnienie okropności powstania. Barra Feia (zatoka brzydka). Osada Rio Claro.

Nazajutrz raniutko napalono w maszynie sękami sosnowymi araukaryi, pełnymi żywicy i dorównywującymi pod względem ilości cieplika węglowi kamiennemu czy nawet koksowi.

Ruszyliśmy i płynęliśmy wśród coraz mniej wyniosłych brzegów.

Do godziny 10-tej tylko byłem w towarzystwie ks. Petersa, który wysiadł wtedy na brzeg lewy, gdzie go oczekiwano. Z miejscowości tej miał jeszcze przez parę tygodni objeżdżać część południową swego królestwa.

Ludność, którą zwiedzał, była czysto brazylijska, dość ciemna i zabobonna: zjawiają się wśród niej od czasu do czasu proroki, nie zawsze na rękę rządowi. Łatwo bowiem wtedy o małe powstanie, gdy prorok podburzy ludność, mszcząc się za swoje prawdziwe czy urojone krzywdy i lekceważenie. Właśnie wówczas pojawił się taki mąż świątobliwy, niezadowolony z czegoś, bodaj czy nie z kolonizacyi słowiańskiej, wypierającej Kaboklów coraz dalej w głąb kraju.

Dzięki uczynności ks. proboszcza, parostatek powiózł mnie dalej aż do Rio Claro, największej kolonii polskiej. Pędziliśmy po mniej kręcącej się już a szerszej rzece; po obu jej brzegach spoglądałem na okolice równe i porosłe na przemian to lasem, to piękną trawą. W tej porze wiosennej, wszystko mi się wydawało pięknem, bo przyroda wówczas każdego przekupi i przez sympatyczne zmusza patrzeć na się okulary.

Wreszcie wjechaliśmy do rzeki Iguasu, która od chwili zlania się z Rio Negro, szerokiem toczy się korytem. Nieopodal,

prawie naprzeciwko ujścia rionegryńskiego, wlewa się do prawego brzegu Iguasu rzeka Putinga.

W jej pobliżu znajduje się pamiątka po niedawnym ruchu politycznym. Powstańcy zabili tam niejakiego Portesa, obywatela zamożnego i poważanego a przyjaciela Polaków. Był on przeciwnikiem powstania. Kilku powstańców polskich, na czele których znajdował się ś. p. Kośmiński, chwycili go we własnem mieszkaniu i uprowadzili z pośród rodziny, przyjaciół i zwolenników: nie przypuszczali, żeby tak smutnie skończyła się ich wyprawa. Chcieli oni go do powstania przyłączyć, lub zrobić obojętnym dla ruchu.

Tymczasem dowódca oddziału, do którego przyprowadzono Portesa, Brazylianin ze stanu Rio Grande, zdziczały w rewolucyi, zapytał się go tylko, czy chce przystąpić do powstania. Portes odpowiedział, że nie. Wtedy dzikus zrobił go po swojemu nieszkodliwym: zarżnął go nożem, który przed chwilą w jego obecności był naostrzył. Potem nastąpiła scena jeszcze wstrętniejsza: drugi dzikus w mundurze zatańczył po pijanemu, śmiejąc się i pijąc „krew nieprzyjaciela". Wykrzykiwał i wyśpiewywał z pokrwawioną gębą, że to rozkoszny napój. Polacy, przytomni takim scenom, zdrętwieli z obrzydzenia i sprzeciwili się przynajmniej temu, żeby z innymi jeńcami tak samo nie postąpiono.

Zemsta synów Portesa była straszna. Nie zważali na to, że powstańcy polscy, porywając ich ojca, wykonali tylko rozkaz. Wiązali niewinnych kolonistów polskich, nie należących wcale do powstania i w okrutny sposób o powolną śmierć ich przyprawiali: pruli brzuchy, gardła i t. p.

Minąwszy to miejsce fatalne, dojechaliśmy wkrótce do portu Barra Feia (zatoka brzydka). Jest to rzeczny port ogromnej osady rusińsko-polskiej Rio Claro (rzeka jasna) — zwanej od rzeczki tej nazwy, która właśnie nieopodal wpada do Iguasu. Poznało mnie na brzegu dwóch młodych ludzi i zaprowadziło do sklepu Józefa Portesa zwanego Jijique (wym. Żiżike), czy też Juca (wym. Żuka), jednego z synów zamordowanego przed paru laty w rewolucyi starego Portesa.

Ten „zaopiekował się" mną gościnnie, kazał mi podać obiad, za który nie chciał wziąć żadnej zapłaty: a ponieważ wiedział, że koniecznie muszę dostać się przed zachodem słońca do miasteczka Rio Claro, położonego o 8 kilometrów, pożyczył mi konia w drodze łaski za 20 milrejsów: zwykle za taką przysługę płaci się tylko 3 milrejsy.

Ulżyło mi wprawdzie w kieszeni, ale za to użyłem na koniu sportu bardzo męczącego. Wziąłem bowiem odrobinę swych rzeczy i aparat fotograficzny, którego niepodobna było oprzeć na grzbiecie konia ani przytroczyć do siodła, gdyż zrobiłaby się z klisz kasza szklanna. Podczas jazdy kłusem i galopem musiałem trzymać aparat zawieszony na palcu i nie puścić go. Z wysiłku i bólu czerwieniłem się, pociłem i bladłem w ciągu całej podróży przeszło milowej do Rio Claro, a bałem się powierzyć ten skarb ze szkła, drzewa i stali swemu towarzyszowi, p. Korolewskiemu, pisarzowi rządowemu i tłumaczowi, bo widziałem, że natura nie obdarzyła go nadludzką siłą fizyczną, a bez niej omdlałaby mu ręka. Przeklinałem wynalazek fotograficzny; lecz wreszcie po przeszło godzinnej jeździe, dobywając resztek swych sił a z miną obojętną, wjechałem do grupy drewnianych domostw. Był to kres mej męki: „miasto" Rio Claro.

Obstąpili mnie zaraz znajomi, towarzysze podróży atlantyckiej, których jeszcze rząd nie zdołał osadzić na ziemi i którzy na nią czekali w „barakach". Uwolnili zbolałe ręce i palce moje, z których każde po kolei dźwigały aparat. Stanąłem nie w budynku urzędu kolonialnego, do czego mnie natarczywie namawiał towarzysz mój, lecz u pana Duquene, przyjaciela Polaków, kupca zamożnego, Belgijczyka, ożenionego z Polką, który zaprosił mnie był do siebie po poznaniu się naszem na statku parowym przed tygodniem.

7.—14. listopada w Rio Claro. Koloniści i kolonia. Deszcz. Żaby. Chrabąszcze świecące. Gościnność polska. Monjolo. Krok portugalszczyzny.

Kolonia Rio Claro ma pewne podobieństwo do Luceny; lecz jest większa i nie opanowana przez Niemców. Widoki z pobliża „miasteczka" są bardzo dalekie. Pagórki falują łagodnie, lecz podnoszą się stopniowo ku zachodowi coraz wyżej aż pod pasmo gór Nadziei „Serra da Esperança".

Nowi koloniści, tak jak w Lucenie, mają oparcie o pierwszych kolonistów z Królestwa Polskiego, ofiary gorączki emigracyjnej. Przybysze galicyjscy mieszkają u nich, zarabiają, zawiązują z nimi stosunki wszelkiego rodzaju. Królewiacy przeważają w stolicy, czyli w tak zwanem mieście i okolicy jego. Galicyanie,

przeważnie Rusini, osiedlają się dalej na północ. Ulic głównych jest ośm, pobocznych 12.

Po obu stronach są działki 250 metrów szerokie, a 1.000 metrów długie, ułożone długością swą w głąb prostopadle do drogi. Zabudowania kolonistów nad drogą są przeto oddalone mniej więcej o tę szerokość t. j. o ćwierć kilometra (wiorsty) jedne od drugich. Niektóre ulice mają blisko 200 działków po obu swych stronach, to znaczy. że długość ich wynosi do 50 kilometrów. Wymierzonych działków było za mej bytności 1.600. Obecnie jest ich znacznie więcej niż 2.000, zajętych przez kolonistów naszych. Licząc na każdą rodzinę co najmniej 5 członków, wypada ludności naszej w Rió Claro przeszło 10.000.

Ziemia jest pagórkowata i różnorodna. przeważa bardzo dobra; spotyka się tam często trzcinę, zwaną putinga. oznaazającą grunt przedni. Herwy Mate jest bardzo wiele w bliskiem sąsiedztwie kolonii Rio Claro, lecz w niej samej nie ma jej wcale. Nie liczna też jest tam araukarya, a, o ile się ją spotyka, olbrzymia. Są to wszystko oznaki ziemi bardzo urodzajnej. Brak zaś Maty jest chwilowo ciężki dla mieszkańców kolonii, bo nie mają zarobku z jej zbierania; ale za to koloniści rioklarscy zmuszeni są wyzyskiwać swą ziemię w inny sposób, ostatecznie zyskowniejszy. Brak ten wypadnie im na dobre za parę lat, wobec budującej się wielkiej kolei południowo-brazylijskiej, mającej połączyć S. Paulo ze stanem Rio Grande do Sul, a właściwie Rio de Janeiro z Argentyną i Uruguayem. Wtedy Rio Claro stanie się stacyą ważnej drogi i zbyt swych płodów będzie miało zapewniony.

Sto kilkadziesiąt rodzin czekało na wymierzanie gruntu w hotelach emigracyjnych i u ludzi prywatnych, dawniej tu osiadłych. Słyszałem wprawdzie narzekania na brak roboty, na niesprawiedliwe obdzielanie gruntów, jednakże znalazłem w sercach więcej nadziei niż rozpaczy, w głowach zaś wyłącznie kombinacye przyszłego zagospodarowania się.

Kolonizacya to świeża. Połowę swych towarzyszy oceanowej podróży odnalazłem w Rio Klaro. Nawet świeżem można nazwać to osadnictwo, które miało kilka zaledwie lat istnienia. Przedtem była tam puszcza nie zamieszkała.

Kościół w Rio Klaro jest jeszcze skromniejszy od luceńskiego. Niewątpliwie stanie dla 10.000 mieszkańców świątynia okazalsza i pewnie niejedna w różnych stronach rozległej osady, skoro rioklarczycy zbogacą się cokolwiek i otrzymają swego księ-

dza na stałe. Dotąd dojeżdża tylko do nich ks. Przet. z Mateusza.

Całe 8 dni, które spędziłem w Rio Claro, były dżdżyste i chmurne. Z wielką trudnością przyszło mi zdejmować widoki w kierunku pasma gór Esperança. Albo deszcz, albo mgły stawały mi ciągle na przeszkodzie.

Lasy rioklarskie ożywione były wieczorem i w nocy koncertem żab, których dotąd nie słyszałem — mianowicie mlaskających, jak wyciąganie korka z butelki, lub bęben. w orkiestrze. Mają to być gatunki wielkie z rogami i niebezpieczne; gdy się do nich zbliżyć, nadymają się ze złości i puchną do podwójnych rozmiarów. Podaje im się wtedy drąg lub kij, w który z zaciekłością zatapiają jadowite zęby i niesie się je do domu, aby je dla ochłody zanurzyć w garnek lub słój okowity; gotowe są w tym stanie, jako okaz muzealny.

Dżdżysta i wilgotna pora roku przynosi nad Iguasem prześliczne zjawisko; o zmroku i w nocy latają w powietrzu miliardy chrabąszczy świecących. Owad ten jest długości naszego chrabąszcza majowego, lecz znacznie węższy; świeci się on światełkiem księżycowem na brzuchu i dwoma, jak świętojańskie nasze robaczki, miejscami nad oczyma. Ztąd, gdy leci, przechylając się lekko to na prawo to na lewo, znika i zjawia się co jakie pół minuty w ciemnościach. Gdy się wie kierunek jego lotu, odgadnąć dokładnie można, gdzie w przestrzeni zajaśnieje i gdzie jego światło zaniknie, aby znów zaświecić na odległości równej. Gdy go położyć na grzbiet, łebkiem uderza o miejsce, na którem leży i podskakuje o kilka lub kilkanaście cali, aż stanie na łapkach lub pofrunie.

Czas spędzałem w Rio Claro, zwiedzając miejscowość i wywiadując się na wszystkie strony; przytem robiłem zdjęcia fotograficzne, o ile pogoda zezwalała na to. Odrzekłem się jednak raz na zawsze gromadzenia w sobie dwóch osobistości: podróżnika i fotografa. Co chwila proszono mnie o fotografowanie osób pojedynczych, grup ludzkich i widoków. Przekonałem się, że niepodobna uwagi skupiać w kilku kierunkach na raz: albo fotografia się nie uda, albo się coś ciekawego przeoczy, albo najczęściej następuje jedno i drugie. Pod tym względem miałem chwile fatalne.

Włącząc się n. p. z aparatem fotograficznym po ulicach, wstępowałem co ćwierć kilometra do osadników, często bardzo dobrych znajomych. Przyjmowano mnie życzliwie i serdecznie.

Zwykle z wielkim trudem wyrywałem się z kleszczów gościnności polskiej; zwłaszcza popołudnie niedzieli było najniebezpieczniejsze. Miałem wrażenie, że koloniści zmówili się, aby mnie jak najgościnniej raczyć. Mając dosyć tych przyjęć, mijałem zabudowania, znajdujące się co ćwierć kilometra, lecz wypadano z chałup i nawoływano, prosząc, abym wstąpił.

Wiedziałem co to znaczy: kaszas (wódka z trzciny cukrowej), piwo, likier bardzo słodki zwany Kapille, ciemne Oporto (portwein), czasem Bordeaux białe lub czerwone, czekały na mnie. Stawiano, co tylko było w Rio Claro najlepszego i najdroższego obrazą byłoby nie wstąpić i nie wlewać w siebie tego wszystkiego. Szczęściem przyroda obdarzyła mnie mocną głową. Przy butelczynie gromadziło się kilkanaście osób nieznajomych lub znajomych ze Lwowa, z Kaliskiego, z Poznańskiego, z pod Warszawy.

Mimo trzeźwości i przytomności umysłu, które zawsze zachowywałem, fotografowanie nie udawało się: czynność ta wymaga akuratności w czasie, której po libacyach jakoś nie przestrzegałem. Trzeba było pamiętać, ile minut z zegarkiem w ręku aparat ma być czynnym w rozmaitych porach dnia. Udawały mi się tylko migawkowe zdjęcia w południe, nie wymagające pamięci i kombinacyi. Przeskakując rowy i kałuże, przewracałem się, psułem aparat i miałem troskę naprawienia go.

Wśród naszych wychodźców poznałem bliżej dwóch stolarzy: Kamińskiego i Szymańskiego. Pierwszy, przyjaciel państwa Duquene, u których stałem, znakomicie obeznany ze sprawami kolonizacyjnemi, wtajemniczał mnie wieczorami w różne szczegóły, odnoszące się do osadnictwa rioklarskiego. Drugi opowiadał dzieje swych wędrówek zamorskich, tak, jakby był przeczuł to, o czem pisał lwowski „Przegląd Emigracyjny“, gdzie stawiano, jako cel wychodźctwa polskiego, brazylijski stan Parana i stan Waszyngton nad oceanem Spokojnym w północnej Ameryce. Porwany gorączką brazylijską z Królestwa Polskiego, przywędrował najprzód nad Iguasu, następnie był przy założeniu osady Rio Claro, zkąd dostał się do Stanów Zjednoczonych północno-amerykańskich, które całe zwiedził wzdłuż i wszerz, dokonywując wciąż roboty stolarskie. Po pięciu latach wędrówki po północnej półkuli amerykańskiej, powrócił do Rio Claro i głosił, że najlepiej mu się podobało w stanie Waszyngton i w obecnem miejscu swego pobytu, zkąd nie myśli się już ruszać.

W Rio Claro przypatrzyłem się samorodnej maszynie do łuszczenia i kruszenia kukurydzy, mandjoki i ryżu, zwanego „monjolo“ (wym. monżolo). Jakiś genialny nieznany umysł wynalazł ją. Rozpowszechniona jest w Paranie i pewnie w całej Brazylii. Znakomicie się stosuje ona do warunków słabego zaludnienia: pracuje bez elektryczności, nafty, benzyny, pary i ręki ludzkiej, a niemniej niezmordowanie dniem i nocą. (Bliższy opis szczegółowy tego dowcipnego i prostego mechanizmu istnie maszynowego łaskawy czytelnik znajdzie w rozdziale VII. tego dziennika podróży).

Polaków z wyższem wykształceniem i zamożniejszych w Rio Claro nie było prawie wcale; ztąd łatwo wytłumaczyłem sobie urok, jaki wywierała portugalszczyzna na dzieci państwa Duquene. Dwie córeczki kilkoletnie moich gospodarzy nie chciały nigdy słowa wymówić po polsku lub francusku, a jedynie tylko portugalszczyzna wydała im się odpowiednią do wymiany myśli. Znały jednak nasz język niezgorzej, bo innego obcego prawie nie słyszały. W dziecinnym umyśle wyrobiło się odruchowo pojęcie, że tylko prości ludzie mową naszą władają, a ludzie wyżsi, jak urzędnicy, używają jedynie języka portugalskiego.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Le 12. Oct.

Nous fimes une excursion à Long-Island et nous dinames chez le général Clarke qui y commande...

Long-Island oû Isle long a environ 120 miles de longueur, sur 10 et 5 de largeur elle est formée par la mere et par la riviere. La partie du nord est fertile cultivée et fournit d'excellent bois de construction. Le sol de la partie sud est ingrat pierreux;

---

12. października.

Uczyniliśmy wycieczkę na Long-Island i byliśmy na obiedzie u generała Clarka, kttóry tam jest dowódcą.

Long-Island albo Isle-long ma około 120 mil długości i 10 szerokości, a utworzona została częścią przez morze i częścią przez rzekę. Część północna jest żyzna i uprawna i dostarcza wybornego budulca. Ziemia części południowej jest nieurodzajna i kamienista;

elle a été le théâtre des premieres operations et des succès du Chev-Howe: succés dont il ne sut pas profiter ayant laissé echapper l'armée américaine qu'il aurait pu détruire facilement. Le passage de l'Isle-long à l'isle de New-Yorck est à peu près d'un mille et on ne conçoit pas comment une armée victorieuse ait laissé tranquilement traverser en sa présence un aussi large passage à une poignée de fuyards. Les ouvrages par la défense de cette isle son réduits à rien et il n'y a d'autres fossés à présent que ceux que le trou du laboureur a tracé entre les sillons. Qu'il est doux au cultivateur de renverser avec sa charne ces ramparts elevés, de combler ces fossés crusés pour sa ruine; il seme d'une mais bienfaisante les champs qu'une main meurtriere a arosé de sang et faire servir les corps des héros célébres à faire germer les grains qui vout nourrir sa famille ignorée.

Le 13., 14. Oct,

Nous employâmes ces deux jours à trouver un bateau. qui put nous porter à West-point et à faire les provisions nécessaires

---

była ona widownią pierwszych kroków wojennych, jakoteż widownią powodzenia Chev-Howe'a, powodzenia, z którego on nie umiał skorzystać, pozwalając wymknąć się amerykańskiej armii, którą mógł łatwo zniszczyć. Przejście z Isle-long na wyspę New-Yorku wynosi prawie milę, nie można więc sobie wyobrazić, jak zwycięska armia mogła pozwolić garstce uciekających spokojnie i w swojej obecności przekroczyć przejście tak szerokie. Prace. wykonane w obronie tej wyspy, były prawie nic nie znaczące i obecnie nie ma tam innych rowów ponad te, które sam wieśniak wyorał między bruzdami. Jak błogo jest rolnikowi obalać pługiem wały wzniesione, zasypywać rowy wykopane dla jego zguby: on zasiewa pożyteczną kukurydzą pola, które zbrodnicza ręka zrosiła krwią i nakazała ciałom sławnych bohaterów, by pomagali w kiełkowaniu zboża, mającego wyżywić jego nieświadomą rodzinę.

13. i 14. października.

Dwa te dni zużyliśmy na poszukiwanie łodzi, którąby mogła przewieść nas na West-point w celu nabycia żywności, potrzebnej

pour notre voyage: faute d'evénement plus considérable je vous dirais qu'un aubergiste loyaleste nous demanda de loyalement trois founds pour un gigant de mouton: j'espére que le gouvernement... dans le Canade ou en Acadie et que je ne le trouverai pas dans mon chemin en Angleterre.

Le 15. Oct.

Ce jour-ci étant déstiné pour notre départ nous nous rendimes au bateau de bonheure et nous le trouvames plein de passagers, ils étaient tout ce qu'on appelle en Amérique des gentlemens c'est-à-dire des marchands, des bouchers, des ouvriers qui allaient à Albany se justifier du soupçon de royalisme. Ils burent toute la journée apparemment pour s'etourdir sur leur situation: si c'est un crime d'être ennuyeux, ils méritent assurément d'être pendus. Ce qui me fit vraiment de la peine, c'est que le vent nous etait contraire et la marée très forte. J'etais menacé de rester plusieurs jours dans cette societé.

---

do naszej podróży. Ku wielkiemu zdziwieniu powiem, że poczciwy oberżysta zażądał od nas trzy funty szterlingów za olbrzymiego barana: spodziewam się, że rząd... w Kanadzie czy Akadii i że nie spotkam się już z czemś podobnem w mojej podróży do Anglii.

15. października.

W dniu tym, przeznaczonym do odjazdu, udaliśmy się na łódź, gdzie znaleźliśmy już pełno podróżnych; byli oni wszyscy, jak to się mówi w Ameryce dżentlemanami, to znaczy kupcami, rzeźnikami, robotnikami, a zdążali do Albany, by się usprawiedliwić z podejrzeń o rojalizm. Pili przez cały dzień, by nie zdawać sobie zapewne sprawy ze swego położenia. Jeżeli należałoby do zbrodni być nudnym, z pewnością oni wszyscy zasłużyliby na powieszenie. Największą zaprawdę przykrość sprawiało mi to, że wiatr był przeciwny i odpływ morza zbyt silny. Groził mi więc kilkudniowy pobyt w tem towarzystwie.

La riviere d'Hudson est certainement une des plus belles et des plus singulières rivieres du monde. Elle coule dans une direction droite du nord au sud et traverse souvent une chaîne de montagnes qu'elle divise perpendiculairement; elle ressamble alors à un canal superbe que la main des hommes aurait conduit au travers des rochers. Il serait impossible de vous décrire les effets surprenant, les situations pittoresques, les charmantes rues des bords de ce fleuve. Le plus habile peintre, le poète de la plus brillante imagination n'en pourrait donner qu'une faible idée. La nature a tout fait pour ce pays et l'art n'y a rien gaté: tout y respire la majesté, la grandeur qui etonne l'homme, du charme de la varieté qui le séduit. La marée manquant et le vent étant toujours contraire à sixe milles de la ville nous jettâmes l'ancre vis-à-vis d'une belle maison appartenante à Mr. Apthorpe un de nos compagnons de voyage était accusé aussi de torysme et obligé d'aller se justifier à Albany; il descendit à terre et nous profitâmes de cette occasion pour voir son habitation. Sa maison bien bâtie et d'un très bon goût. il a un grand jardin parfaitement bien entendu d'un immense rocher qui est au milieu de l'esplanade; l'on voit les deux rivieres, celle de l'Est et celle

---

Rzeka Hudson jest bezwątpienia jedną z najbardziej pięknych i osobliwych rzek świata. Płynie ona w kierunku prostym z północy na południe i przedziera się częstokroć przez łańcuch gór, który rozdziela pionowo; podobną jest ona raczej do doskonałego kanału, który ręka ludzi poprowadziła na wskroś skał. Byłoby niemożliwością opisać zdumiewające wrażenia, malownicze położenia i zachwycające brzegi tej rzeki. Najbieglejszy malarz, poeta o najbujniejszej wyobraźni, mogliby dać tylko słabe o tem pojęcie. Przyroda uczyniła wszystko dla tego kraju a sztuka nic w nim nie zepsuła; wszystko tchnie tam majestatem, wielkością zadziwiającą człowieka czarem rozmaitości, który go przykuwa. Przy niedostatecznym przypływie i wietrze ustawicznie przeciwnym zarzuciliśmy kotwicę o sześć mil od miasta, naprzeciw pięknego domu, należącego do pana Apthorpe'a, jednego z naszych towarzyszy podróży, który oskarzony również o toryzm, musiał usprawiedliwić się w Albany. Dom jego zbudowany dobrze i z wielkim smakiem, posiada obszerny ogród, doskonale rozłożony z olbrzymią skałą w pośrodku dziedzińca; widać stamtąd dwie rzeki: Est

d'Hudson. qui baignent les deux côtés de l'isle. Le 16 à onze heures le vent soufla du sud et nous appareillâmes: te temps était magnifique, il faisait presque aussi chaud qu'en été. Nous eumes le loisir de voir dans toute leur beauté les superbes rives du Jersi: elles sont couvertes des bois impénétrables qui ont l'air d'être plantés sur des rochers tantôt elevés perpendiculairement sur l'eau tantôt jettés au hazard, et presentants le tableau effroyant d'une horrible confusion. A noins d'une heure nous fimes le même chemin que nous avions fait si péniblement dans toute la journée de hier et nous passâmes entre les forts Lée et Kniphausen. Le dernier s'appeltait autrefois Washington et fut prit par le général Howe. Il est gardé encore par les troupes anglaises dont les lignes s'etendent jusqu'à Kings-bridge ou plutôt jusqu'à une petite crecke appellée Spiton Divel. qui forme au nord l'isle de New-Yorck. Les Américains ont un sentinelle sur l'autre rive. Nous aperçumes les deux gardiens ennemis causant tranquilement ensemble. Il-y-a-t-il au monde une ressamblence plus parfaite que celle des soldats et des marionettes mus par un ressort secret dont-ils ne se doutent pas. ils se donnent des coups, se blessent, s'assomment mais aussitôt que la main qui les

---

i Hudson. które oblewają oba brzegi wyspy. Szesnastego o jedenastej godzinie wiatr wiał z południa. wyruszyliśmy więc w drogę; pogoda była wspaniała, było prawie tak ciepło, jak w lecie. Mieliśmy dużo wolnego czasu. by oglądać w całej piękności przecudne brzegi Jersi: są one pokryte nieprzejrzanymi lasami, które wyglądają jakby rosły na skałach bądźto wzniesionych pionowo nad wodą. bądźto rozrzuconych na los szczęścia a przedstawiających przerażający obraz niezmiernego nieładu. W przeciągu niecałej godziny zrobiliśmy tyle drogi, ile przebyliśmy wczorajszego dnia z taką trudnością, i przepłynęliśmy między twierdzami Lée a Kniphausem. Ta ostatnia zwała się niegdyś Washington a została zdobyta przez generała Howe'a. Jeszcze teraz jest ona strzeżona przez wojska angielskie. których linie rozciągają się do Kings-bridge albo raczej aż do małego naturalnego portu Spiton-divel, utworzonego w części północnej wyspy New Yorku. Amerykanie mają swoją straż na drugim brzegu. Ujrzeliśmy dwu nieprzyjacielskich wartowników, rozmawiających ze sobą spokojnie. Czy jest gdzie na świecie większe podobieństwo od tego, jakie istnieje między żołnierzami a maryonetkami? Poruszani jakby jakąś sprężyną tajemną, której nie przeczuwają wcale, zadają so-

fait agir cesse. ils deviennent immobiles, boivent avec l'ennemi qu'ils n'ont point egorgé; ils donnent la mort sans colère, sont cruels sans emportement, accordent la vie sans magnanimité et dans leurs plus grandes fureurs commedans leurs plus brillantes actions ils n'eprouvent ni la satisfaction intérieure qui accompagne l'héroïsme ni les plaisirs de la vengeance.

Dépuis Spiton-Divel jusqu'à Crotons-Rives nous côtoyâmes le Philips-monor où les possessions du colonel Philippe; elles s'etendent à peu près 24 milles le long du rivage et s'enfoncent quatre à cinq milles dans l'intérieur. C'est la terre la plus considérable et la mieux cultivée de l'etat de New-Yorck. elle va être enlevée au proprietaire confisquée et vendue. Le vieux colonel perd pour son attachement à S. M. britannique une fortune d'à peu près un million livres sterlings de rente est reste avec une femme et sept enfants à la merci de la générosité du parlement. Je l'ai vu à New-Yorck accablé d'age et d'infirmité, il se préparait à quitter sa patrie et a suivre les restes de l'armée britannique.

---

bie ciosy, ranią się, zabijają, lecz skoro tylko ręka, która każe im działać, ustaje, stają się nieruchomi i piją z nieprzyjacielem, którego jeszcze nie zgładzili: zabijają się bez gniewu, bez okrucieństwa, bez zapalczywości oszczędzają sobie życie bez wspaniałomyślności, a w największej swojej wściekłości, czy w czynach najbardziej szlachetnych, nie odczuwają wcale ani wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy heroizmowi, ani też radości zemsty.

Od Spiton-divel aż do Crotons-rives płynęliśmy wzdłuż brzegów Philips-monor, gdzie znajdują się posiadłości pułkownika Philippe'a; rozciągają się one blisko 24 mil nad brzegiem i sięgają od cztery do pięciu mil w głąb. Jest to ziemia o wielkiej wartości i najlepiej uprawiana ze stanu New-Yorku: właśnie teraz ma ona być zabrana właścicielowi, skonfiskowana i sprzedana. Stary pułkownik z powodu swego przywiązania do Jego Majestatu, króla angielskiego, traci majątek, przynoszący prawie milion funtów szterlingów rocznego dochodu i zostaje z żoną i siedmiorgiem dzieci na łasce wspaniałomyślności parlamentu. Zobaczyłem go w New-Yorku, przygnębionego wiekiem i chorobą; przygotowywał się do opuszczenia swojej ojczyzny, by podążyć za ostatkami armii angielskiej.

La riviere s'elargit ici et forme un bassin considérable que les Hollandais ont appellé jadis Tapan-Sea et qui a gardé ce nom jusqu'à présent. Avant d'y entrer a un endroit nommé Rockland sont les limites du Jersey et les deux rives appartiennent à l'etat de New-Yorck. Le Tapan-Sea a à peu près cinq milles de longneur et la riviere reprend aprés sa largeur ordinaire: le pays à l'est offre le spectacle d'une culture svignée: les maisons, les fermes, les moulins remplissent les vallées et ornent les collines, mais du côté de l'onest garde toujours ses beautés sauvages. Les montagnes escarpées et les forêts epaisses semblent annoncer une vue bien monotone mais la savante main de la nature a jetté ses matières informes avec tant d'art et les a placées dans des situations si heureux qu'elles forment une chaîne continuelle de coups d'oeil ravissante. Nous aperçumes sur une des plus hautes montagnes un grand amas de bois sec mêlé de différentes combustibles et nous apprimes que ces précautions étaient répétées jusqu'à Albany et devaient servir. de signaux en cas d'un mouvement quelconque de l'armée ou de la flotte anglaise.

Rzeka rozszerza się tutaj i tworzy znaczne jezioro, które Holandczycy nazwali niegdyś Tapan-sea i nazwa ta zachowała się aż po dzień dzisiejszy. Przed wejściem na miejsce, zwące się Rockland, spotyka się granice Jersey, a oba brzegi należą do stanu New-Yorku. Tapan-sea posiada prawie pięć mil długości a rzeka już w dalszym ciągu przybiera swoją zwyczajną szerokość. Od strony wschodniej widzimy kraj uprawiany bardzo starannie: domy, osady, młyny, napełniają dolinę i ozdabiają pagórki, podczas gdy strona zachodnia zachowuje stale swoją dziką piękność. Góry urwistę i gęste lasy zdają się zapowiadać widok bardzo monotonny, jednak umiejętna ręka przyrody rozrzuciła ten niekształtny materyał z takim artyzmem i umieściła go w położeniach tak dobranych, że tworzy on nieprzerwany łańcuch, który zachwyca oko. Na jednej z najwyższych gór ujrzeliśmy wielki stos suchego drzewa, pomieszanego z rozmaitymi palnymi materyałami i dowiedzieliśmy się, że takie środki ostrożności ciągną się aż do Albany i miały służyć jako sygnały na wypadek jakiegokolwiek poruszenia się armii lub floty angielskiej.

On nous fit remarquer aussi un pic très elevé appellé Verdridica ou Tedins Point, au sommet du quel est un lac semblable à celui du Mont-cenis où l'on pêche d'excellents poissons. à 1 mille de la le pays s'aplanit de deux côtés et la riviere se répand de nouveau et forme une espèce de baye qui a gardée son ancien nom hollandais de Stacverstraw-Buy; mais elle ne jouit pas longtemps de cette extension. Les deux promontoires de Stoney-point et de Haver plantes Neck la rétrécissent et forment une espece de détroit: ces deux points importants furent enlevés par sir Henry Clinton en 1777. mais deux ans après le général Vaine surprit le colonel Johnson dans Sroney-point et le fit prisonnier avec toute la garnison: la bonne conduite du colonel Webster du 33 régiment sauva Haver plantes Neck.

J'ai oublié de vous dire que nous avons vu en dèça Stoney-Point une petite maison de Mr. Smith fils du chef-justice de la province où l'intéressant André et le général Arnold s'abouchèrent: on prétend ici qu'Arnold ne fut pas le seul s'éduit dans sa famille et que l'amour avait semé de fleurs le chemin qui conduisit le major à une mort ignomignieuse. . .

. . . .

Zwrócono nam również uwagę na bardzo wysoki cypl, nazwany Verdridica lub Tedins-point, na którego szczycie znajduje się jezioro, podobnie jak na Mont-cenis. gdzie można łapać doskonałe ryby. O milę stamtąd kraj poczyna się wyrównywać po obu stronach a rzeka rozszerza się znowu i tworzy rodzaj zatoki, która zachowała dawną swoją nazwę holenderską Stacwerstraw-buy. Jednak rzeka nie cieszy się długo tem rozszerzeniem; dwa przylądki Stoney-point i Hawerplantes-neck zwężają ją i tworzą rodzaj cieśniny. Te dwa ważne punkty zostały zabrane przez Henryka Clintona w r. 1777, lecz w dwa lata później generał Vaine napadł na pułkownika Johnsona na Stoney-point i wziął go do niewoli wraz z całą załogą: należyte postępowanie Webstera.. pułkownika 33 pułku,* ocaliło Haverplantes-neck.

Zapomniałem powiedzieć, że z tej strony Stoney-point ujrzeliśmy mały dom pana Smitha, syna okręgowego szefa sprawiedliwości, gdzie ciekawy André i generał Arnold rozprawiali się ze sobą:. twierdzono tutaj, że Arnold nie był jedynym oszukanym w swojej rodzinie i że miłość siała kwiaty po drodze, która zaprowadziła majora do haniebnej śmierci. . . . .

. . . .

Si cette circonstance est vraie je ne conçois pas de fin plus malheureuse, que celle de ce jeune officier: mais il faut espérer qu'un jour l'impartial historien de cette guerre sensible au sort de cet infortuné, en rendant justice à sa vertu et son courage consolera ses manes affligées. Depuis Stoney-Point les montagnes commencent à devenir plus hautes et le lit de la riviere plus etroit, le fleuve y est plus profond, mais non pas plus rapide, il coule majestueusement et ne se presse pas de quitter ces rives charmantes.

Il est difficile d'imaginer un endroit plus romanesque que celui-ci. La plume de l'Arioste ne saurait inventer une de plus enchanteur: et les rochers de la Milleraye sont moins intéressants. On y respire une douce mélancolie et le silence profond qui y régne entretient les reflexions et donne une ample-carrière à l'imagination.

Le soleil était déjà couché quand nous entrâmes parmi les rochers. La pâle lumiere de la lune éclairait la cime des montagnes qui se courbaient et formaient presqu'un voûte sur nos têtes; réfléchie dans l'eau limpide et tranquile, je restais en exstase pendant quelques minutes mais mon ame fut réveillée et

---

Jeżeli powyższa okoliczność jest prawdziwą, to ja nie znam bardziej nieszczęśliwego końca, jak ten, jaki spotkał tego młodego oficera; jednak trzeba się spodziewać, że pewnego dnia bezstronny historyk, łącząc tę bolesną wojnę z losem tego nieszczęsnego, odda sprawiedliwość jego cnocie i odwadze i pocieszy jego znękaną duszę.

Począwszy od Stoney-point góry zaczynają stawać się coraz wyższe, a łożysko rzeki coraz węższe: rzeka w tem miejscu jest głębsza, jednak wcale nie szybsza: płynie majestatycznie i nie spieszy się opuszczać swoich czarujących brzegów.

Trudno jest wyobrazić sobie okolicę bardziej romantyczną jak ta. Pióro Ariosta nie umiałoby wymyślić jednego z tych cudów a nawet skały Milleraye'a nie są już tak ciekawe. Oddycha się tu łagodną melancholią a głębokie milczenie, jakie panuje, pobudza do rozmyślań i toruje wyobraźni szeroką drogę.

Słońce zaszło już, kiedy weszliśmy między skały. Blade światło księżyca oświetlało wierzchołki gór, które pochylały się i tworzyły nad naszemi głowami prawie sklepienie; zapatrzywszy się w swój obraz w wodzie czystej i spokojnej, pozostawałem

le vaisseau en poursuivant sa route excitait un doux frémissement; enfin — — — — — — — — — — — — — — — — — —

La plume d'un grave historien,[1]) ne daigne guère faire mention, de la mort d'un officier subalterne, l'attention d'un voyageur, n'est point arrêtée par une nolce de terre qui couvre le corps d'un brave soldat, mais il doit être permi a un compatriote de planter une branche de laurier sur la tombe de son ami et d'arracher son nom à l'oubli eternel.

Ce Chr. Clenton l'appelle pour lui faire voir un ouvrage qu'il croyait attaquable et lui demander ce qu'il en pensait?

---

[1]) Od tego miejsca rozpoczyna się: Podróż po Ameryce północnej w rękopisie Bibl. Jagiellońskiej nr. 5634; brak w nim całego początku, na co zresztą rękopis wskazuje bardzo wyraźnie, gdyż zaczyna się od zeszytu drugiego; początek jednak przechował się w rękopisie nr. 49, folio, kart 75, prywatnej biblioteki hr. Chreptowicza-Buteniewa w Szczorsach na Litwie. Rękopis ten jednak — jakkolwiek jest niewątpliwie kopią jagiellońskiego — o wiele gorszy, pełen opuszczeń, pisany niedbale. Podczas gdy jagielloński przeznaczony był do druku, ten był jedynie jego odpisem, przeznaczonym niezawodnie do prywatnego użytku. Cały więc początek: Pamiętnika po Ameryce północnej aż do tego miejsca, wydany jest na podstawie rękopisu szczorsowskiego.

---

przez kilka chwil w ekstazie, jednak ocknąłem się prędko, a i okręt zadrżał z lekka, puszczając się w dalszą drogę; wreszcie — — —

Pióro wielkiego historyka nie raczy wcale wspominać o śmierci oficera niższej rangi, uwaga podróżnika nie zatrzymuje się wcale na pagórku ziemi, pokrywającym ciało dzielnego żołnierza, ale powinno być dozwolone współrodakowi zasadzić gałęź wawrzynu na grobie swego przyjaciela i wyrwać jego imię wiecznemu zapomnieniu.

Ten Chr. Clenton zawołał go, aby mu pokazać pracę, którą uważał za możliwą do wykonania i zapytał się go, co on o niej

Grabowski allait lui repondre, l'orsqu'il fut atteint d'une balle dans la poitrine qui le fit expirer sur le champ.

Nous passâmes rapidement à côtés des restes des forts Clinton et Montgomery, qui furent pris par les Anglais après une deffense opiniatre. Le jeune C-te Grabowski futué à l'attaque de ce dernier. il était capitaine dans l'armée anglaise et avait menté l'amitié et l'estime de ses généraux.

Le vent qui s'engoufre quelque fois dans ce detroit, commença a souffler avec plus de force. et nous enleva plus tôt que je me souhaitais. Il était huit heures quand nous abordâmes a Westpoint. où nous devions nous arrêter. Le Gl. Knac pour qui nous avions des lettres du Gl. Washington ent la bonté de nous loger: comme j'avais passé une très mauvaise nuit dans le bateau, je fus charmé de retrouver un lit supportable.

17. Octob.

Je vis de ma fenêtre ce matin deux régiments continentaux caparade: Ils sont médiverement bien sous les armes. Ceux qui

---

myśli? Grabowski chciał mu odpowiedzieć, gdy nagle został rażony kulą w piersi, od której wyzionął ducha na miejscu.

Przeszliśmy szybko obok ruin twierdz Clinton i Montgomery, które po upartej obronie zostały wzięte przez Anglików Młody hrabia Grabowski został zabity tam podczas ataku; był on kapitanem angielskiej armii i zjednał sobie przyjaźń i szacunek swoich generałów.

Wiatr, który wtłacza się niekiedy w tę cieśninę, zaczął dąć z większą siłą i uniósł nas wcześniej, aniżeli sobie tego życzyłem. Była 8-ma godzina, gdy przybiliśmy do Westpoint, gdzie mieliśmy zatrzymać się: Gen. Knac, któremu wręczyliśmy listy od gen. Washingtona, był tak dobry, że nas przyjął do siebie, a ponieważ spędziłem bardzo złą noc na statku, byłem uszczęśliwiony znalazłszy wcale znośne łóżko.

17. październ.

Widziałem z mego okna dziś rano 2 pułki piechoty; wyglądają one pod bronią wcale nieźle. Ci, co są przyzwyczajeni do

sont accoutumés au coup d'oeil des armées Europeennes, ne seraient nullement contents de la manière dont les soldats americains font l'exercice. Ils ne leur trouveraient ni cette demarche guerière, ni cet ensemble séduisant, qui distingue particulierement les trouppes allemandes. C'est pourtant devant ces memes hommes, devant une milice encore plus mal tournée que deux armées à la demarche fiere et faisant parfaitement l'exercice, mirent bas ces armes. Après déjeûner nous allâmes visiter le fort, où sont deposée toute l'artilerie et toutes les munitions et les magazins des Etats Unis. C'est le Pandemonium de l'Amerique. Nous y vîmes les immenses bombes a feu que Bourgoine avait trainé avec lui et que les Americains acquirent par la convention de Saratoga. On a eu soin de graver en lettres d'or, l'endroit, l'année et le jour, où chaque piece a été mise; elles sont rangée et entretenues assez proprement et Knownach assûra que leur nombre montait après de 400. Le fort où toute cette artilerie est deposée s'appelle le fort Clinton il se nommait jadis le fort Arnold. [1]) . . . .

[1]) W ten miejscu rękopis zdefektowany.

wyglądu wojska europejskiego, nie byliby wcale zadowoleni ze sposobu, w jaki żołnierze amerykańscy odbywają swoje ćwiczenia. Nie znaleźliby oni w nich ani tego kroku wojowniczego, ani tej łączności podziwu godnej, która cechuje szczególnie wojska niemieckie. A jednakże przed tymi ludźmi, przed milicyą tak słabo wyćwiczoną, całe dwie armie maszerujące imponująco i robiące doskonale ćwiczenia, złożyły broń. Po śniadaniu poszliśmy zwiedzić twierdzę, gdzie jest przechowywana broń, amunicya i zapasy Stanów Zjednoczonych. Jest to Pandemonium Ameryki. Ujrzeliśmy tam ogromne pękające bomby, które Bourgoine przywiózł ze sobą a które Amerykanie zyskali traktatem w Saratodze. Wyryto starannie złotemi literami miejsce, rok i dzień, w którym każda sztuka została zdobytą;, są one uporządkowane i odpowiednio utrzymywane i Knownach upewnia, że liczba ich przechodziła 400. Twierdza, gdzie cała ta amunicya jest złożoną, nazywa się twierdzą Clinton a dawniej Arnold. . . . .

Vis-à-vis de la pointe est une isle appellée Constitution Island une Chaine tendue d'une rive à l'autre émpêche absolument le passage. Je ne conçois pas comment le Chr. Clinton, a negligé de s'emparer et de s'apurer de ces dena postes qui garantissaient aux Anglais une libre navigation sur la riviere dus nord, d'autant plus qu'ayant détruit la Batcene sur l'isle de la Constitution, il lui était fort aisé de se rendre maître de la rive apposée.

Le plus elevé de tous ces forts porte le nom de Putnam; Arnold meditant son dessein y faisait faire une brèche considerable, persuadant aux officiers americains, que c'était pour en agrandir l'enceinte. Toutes ces fortifications sont dans un état miserable, mais la nature apparu abondamment à leur defense, des rochers escarpés de tous côtés, les rendent presque inocupibles, et la moindre petite forrée dirigée raisonnablement est capable d'arrêter un grande armée. Le reste des trouppes americaines est campé dans une petite pleine au pied des montagnes: On assure ici qu'elles montent a près de quatre milie hommes: mais j'ai peine à croire que leur nombre soit aussi considerable.

Naprzeciw znajduje się wyspa nazwana Constitution Island, łańcuch wyciągnięty od jednego brzegu na drugi zagradza absolutnie przejście. Nie mogę pojąć, że Chr. Clinton zaniedbał zająć i skończyć ostatecznie z temi stanowiskami, które zapewniały Anglikom swobodną żeglugę po rzece północnej, tym bardziej, że zniszczywszy już Batcene na wyspie Konstytucyi, mógł bardzo łatwo stać się panem brzegu przeciwnego.

Najwyższa z tych twierdz nosi nazwę Putnam; Arnold rozmyślając nad swoim zamiarem, kazał tam zrobić znaczny wyłom, wmawiając w oficerów amerykańskich, że czynił to dla powiększenia jej wnętrza. Wszystkie te fortyfikacye znajdują się w nędznym stanie, ale sama przyroda przyczyniła się obficie do ich obrony; piętrzące się ze wszystkich stron skały czynią je prawie niezdobytemi i najmniejsza garstka, umiejętnie kierowana, jest w stanie zatrzymać wielką armię. Reszta wojsk amerykańskich obozuje na małej równinie u stóp gór. Zapewniają tu, że dochodzi ona do 4.000 ludzi, ale z trudnością wierzę, żeby ich liczba była tak znaczna.

Nous quittâmes à midi notre général: c'est un violent republicain, qui a été libraire à Boston, il fut un des premiers à desirer la revolution, et ou de plus ardents à la soutenir. Il nous prêta son bateau qui en moins de cinq heures nous conduisit à Pongh Ketpsie. Après avoir depassé le detroit formé par la West-Point, à la Constitution-Island, nous aperçûmes une autre petite isle appellée Polapols. Le pays de là commence à devenir moins élevé, et les Heighlands Montains sont bornées du côté de l'est par la petite riviere de fishkill, comme celles de Batterhill à l'ouest par une petite crêche appellé Murdemskill. Nous passâmes près de Neu-Windsor, ou plustot près de Snakerhill, ou l'armée américaine a été campée jusqu'à la paix.

Quoique les deux rives soient assez bien cultivées, leur vue est pourtant moins agréable: et on ne remontre plus ces situations enchanteres ses qui distinguent le voisinage de West-Point. Il y a plusieurs forges sur la côte, mais l'armée anglaise dans sa course en a détruit les etablissements. Les chênes, les poins, les cedres, composent pour la plus part les fôrets qui bordent la côte, et donnent des grandes facilités pour l'exploitation des

---

W południe opuściliśmy naszego generała; jest to gwałtowny republikanin, który był księgarzem w Bostonie: był on jednym z pierwszych, pragnących rewolucyi i jednym z najbardziej zapalonych, którzy ją podtrzymywali. Użyczył on nam swojej łodzi, która w niespełna pięciu godzinach zawiozła nas do Pongh Ketpsie. Minąwszy cieśninę, utworzoną przez West-Point i wyspę Konstytucyi, spostrzegliśmy inną małą wysepkę, nazwaną Pola-Pols. Kraj odtąd zaczyna być mniej wzniesionym a góry Heighlands otoczone są od strony wschodu małą rzeczką Fishkill, podobnież jak góry Batterhill kończą się na zachodzie małym wąwozem, nazwanym Murdemskill. Płynęliśmy koło Neu-Windsor, albo raczej bliżej Snakerhill, gdzie armia amerykańska obozowała aż do zawarcia pokoju.

Chociaż oba brzegi są dość dobrze uprawne, widok ich jednak jest mniej przyjemnym; nie spotyka się już tych czarujących obrazów, które odznaczają bliskość West-Point. Było na brzegu kilka kuźni, ale armia angielska w przechodzie zniszczyła ich osady. Dęby; sosny, cedry składają się po większej części na lasy, które otaczają wybrzeże i ułatwiają bardzo eksploatacyę rud

mines de fer. Cette exploitation est d'ailleurs très aisée, le mineral se-trouvant à fleur de terre. J'ai en toute la journée une traduction anglaise de voyage du bon Kalm; il m'amuse singulierement par son exactitude scrupuleuse, et par une bonhommie sans exemple, il n'omet aucune histoire qu'il a entendu raconter au peuple; et fait souvent des reflexions dignes Shaah-Baam.

J'imagine qu'il doit être meilleur botaniste, et que tout ce qu'il a ecrit sur les plantes et les arbres de ce pays est instructif.

Nous fumes très fâchés d'apprendre à notre arrivée a P o n g h k e e p s i e que le-gouverneur Clinton en était absent; nous lui étions particulierement recommendé, et je comptais en tirer des informations exactes sur cette province et sur quelques articles de la revolution, dont-il est, dit-on, très instruit. Sa belle mere que nous trouvâmes à la maison nous reçut parfaitement. C'est une vielle presbiterienne de 74 ans, qui nous traita avec une hospitalité et une honnêteté peu commune.

żelaznych. Ta eksploatacya jest zresztą bardzo łatwą, ponieważ minerał znajduje się na równi z powierzchnią ziemi. Miałem przez cały dzień angielskie tłumaczenie „Podróży Bon-Kalma“: bawi mię ono szczególnie swoją skrupulatną dokładnością i swoją bezprzykładną dobrodusznością: nie opuszcza żadnej historyi, którą słyszał opowiadaną u ludu i robi często uwagi, godne Shaah-Baań'a.

Wyobrażam sobie, że musi być on lepszym botanikiem i że wszystko, co napisał o roślinach i drzewach tego kraju, jest pouczającem. Byliśmy bardzo niezadowoleni, gdy przyjeżdżając do P o u g k e e p s i e dowiedzieliśmy się, że gubernator Clinton jest nieobecnym; byliśmy mu szczególnie poleceni i liczyłem, że otrzymam od niego dokładne wskazówki, co się tyczy tej prowincyi i pewnych szczegółów o rewolucyi, w czem, jak mówią, jest on dobrze poinformowany. Jego teściowa, którą zastaliśmy w domu, przyjęła nas nadzwyczajnie: była to stara presbiteryanka, 74-letnia, która przyjęła nas z gościnnością i grzecznością nigdzie niespotykaną.

18. Octob.

Nous comptions partir ce matin, et nous transporter par terre chez le Ch.: Levingston, mais il a plû toute la journée, et comme les ogtan de ce pays-ci ne sont pas couvertes, nous préferâmes de rester et d'attendre le beau temps. J'ai profité de ce loisir pour arranger les materiaux de mon journal, et pour vous tracer quelques traits qui manquent au portrait que je Vous ai fait des moeurs, et de la façon de vivre des Americains. Il y a dix contre un apaner, qu'un voyageur dinant tous le jours chez une autre personne, se nourrira pendant un mois de mêmes mets et accomodés de la même manière. La table d'un Gl. d'un gouverneur, d'un fermier, d'un aubergiste se ressemblent parfaitement: mouton, beuf, cochon; cochon, beuf et mouton; beuf, moton, couchon; sont les bases fondamentales des repas. Ils consistent ordinairement en deux gropes pièces, qui accompagnent de quelques pommes de terres et de differentes salades. Je n'ai vû qu'une seule exception a cet arrangement et c'est chez le plus riche particulier de Philadelphie et à un diner de vingt personnes.

---

18. października.

Spodziewaliśmy się wyjechać tego ranka i dostać się lądem do Lewingston, ale ponieważ padał deszcz cały dzień i że powozy używane w tym kraju nie są kryte, woleliśmy zostać i czekać na piękniejszą pogodę. Skorzystałem z tego wolnego czasu, aby ułożyć materyały mego dziennika i żeby Ci zaznaczyć kilka rysów, których brak do zupełnego scharakteryzowania obyczajów i sposobu życia Amerykanów. Prawie na pewne przyjąć możemy, że podróżny objadujący codziennie u innej osoby, będzie się żywił przez miesiąc jednemi i temi samemi potrawami, przyrządzonemi w ten sam sposób. Stół generała, gubernatora, dzierżawcy, oberżysty, podobny jest do siebie zupełnie; baran, wół, świnia; świnia, wół i baran; wół, baran, świnia stanowią zasadniczą treść posiłków. Składają się one zwyczajnie z 2 wielkich kawałków, które podają z kartoflami i rozmaitą sałatą. Widziałem tylko jeden wyjątek w tym sposobie podania i to u najbogatszego prywatnego człowieka z Filadelfii, na obiedzie podanym dla 20 osób.

On est accoutumé ici à satisfaire l'appelit et non à l'viriter, comme deux pièces considerable suffisent pour rassasier le nombre des convives.

Le plus pauvre fermier en Amerique, mange plus de viande en une semaine, que beaucoup de paysans europeens, (même dans les pays où ils sont le plus à leur aise) dans toute l'année. Le rum melé avec de l'eau est la boisson la plus commune, mais on trouve partout du vin de Porto ou de celui de Madere.

Ils font ici avec des melasses et une espece de sapin, une excellente bierre connue sons le nom de S p r u c e b e e r. Toutes les recherches qui rendent la vie plus commode et plus agreable, toutes les superfluités de luxe, leur sont tout-à-fait inconnues excepté dans quelques grandes villes, où même elles sont très rares, mais le peu de meubles pour leur usage journalier est entretenue avec une propreté et une elegance introuvable dans nos pays.

19. Octbr.

Il a neigé beaucoup ce matin et un terrible vent de nord n'a point empêché la pluie. Nous restâmes toute la journée

---

Przyzwyczajonym się jest tu zadawalniać apetyt, nie zaś go drażnić i z pewnością 2 znaczniejsze kawałki wystarczyłyby do nasycenia wszystkich zaproszonych.

Najbiedniejszy dzierżawca w Ameryce je więcej mięsa w jednym tygodniu, aniżeli wielu chłopów europejskich (nawet w krajach, gdzie im się najlepiej powodzi) w całym roku. Rum, zmięszany z wodą, jest napojem najpospolitszym, ale znajduje się wszędzie wino z Porto albo Madery.

Sporządzają tu z melassy i z pewnego rodzaju jodły doskonałe piwo, znane pod nazwą S p r u c e b e e r. Wszystkie wynalazki, które czynią życie wygodniejszem i przyjemniejszem, wszystkie zbytki luksusowe są im całkiem nieznane, z wyjątkiem kilku miast i tam nawet są one bardzo rzadkie, ale za to ta mała ilość mebli, służąca im do użytku dziennego, jest utrzymywana z czystością i elegancyą, niewidzianą w naszych krajach.

19. października.

Wielki śnieg padał dziś rano i straszny wiatr północny nie przeszkodził wcale deszczowi. Zostaliśmy cały dzień u naszej

entre nôtre bonne vieille et le Cl. Benson, avec qui je causais sur la manière de lever les taxes dans cette Province. J'ai parcouru aussi un grand livre ou sont rassemblées les loix de l'Etat, et j'ai vû qu'ici comme partout ailleurs, elles sont faites pour la plus part dans des vues très etroites, et qu'elles sont pour ainsi dire tous les deux ans.

---

poczciwej staruszki i Cl. Benson, z którym mówiłem o sposobie pobierania podatków w tej prowincyi. Przejrzałem również dużą księgę, w której są zebrane prawa tego Stanu i spostrzegłem, że tu, jak wszędzie indziej, prawa te są ustanowione po większej części w zakresach bardzo ciasnych i w taki sposób, jakby najwyżej 2 lata do użytku miały służyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi w roku 1906.

Nafta i wosk ziemny.

II. [1])

W roku 1906 było w całej Galicyi 369 przedsiębiorstw naftowych, t. j. o 26 więcej niż w poprzednim, z czego 322 w biegu. Eksploatacya odbywała się, jak w latach poprzednich, w trzech okręgach górniczych: Jasielskim, Drohobyckim i Stanisławowskim.

W okręgu górniczym Jasielskim było zajętych przez przedsiębiorstwa naftowe: 103·7 ha miar górniczych, 4·3 ha miar dziennych i 1.514·29 ha terenów (pól) naftowych, t. j. 61·41 ha więcej niż w roku poprzednim. Ogółem było w tym okręgu 108 przedsiębiorstw naftowych, z których 89 przedsiębiorstw było w biegu w 48 gminach następujących powiatów: Brzozów, Gorlice, Jasło, Krosno, Nowy Sącz, Pilzno i Sanok.

W okręgu Drohobyckim zajętych było przez przedsiębiorstwa naftowe 63·1 ha miar górniczych, a 245·87 ha pól naftowych. Ogółem było w tym okręgu 237 przedsiębiorstw, t. j. 33 więcej niż w roku poprzednim, z czego 210 było w biegu, t. j. 18 więcej niż w roku poprzednim. Przedsiębiorstwa te roz-

---

[1]) Patrz zeszyt „Przewod. nauk. i lit.“ z listopada 1907.

ciągały się na 26 gmin w następujących powiatach: Dobromil, Dolina, Drohobycz, Lisko, Sambor, Stary Sambor, Stryj.

W okręgu Stanisławowskim zajmowały przedsiębiorstwa 336·37 ha. Ogółem było w tym okręgu 24 przedsiębiorstw naftowych, z których 23 w biegu w następujących pięciu powiatach: Bohorodczany, Kałusz, Kosów, Nadwórna i Peczeniżyn.

Wszystkie przedsiębiorstwa naftowe w całej Galicyi zatrudniały ogółem 6.446 robotników, t. j. o 204 mniej niż w roku poprzednim. Wytwórczość cała wynosiła 7.371.942 c. m., była zatem o 571.970 c. m., t. j. 7·20% mniejszą niż w roku poprzednim. Wartość cała wytwórczości była 19,843.685 k., t. j. 256.252 k. czyli 1·31% mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy za 1 c. m. wynosiła 2 k. 69 h., t. j. była o 22 h. wyższą niż w roku poprzednim.

Wymienione powyżej cyfry rozdzielają się w następujący sposób na pojedyncze okręgi górnicze.

W okręgu Jasielskim zajętych było 1.583 robotników. Wytwórczość wynosiła 834.604 c. m. wartości 3,178.634 k. czyli 267.058 c. m. za kwotę 576.323 k. mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy wynosiła 3 k. 81 h. za 1 c. m. czyli o 40 h. więcej niż w roku poprzednim. Była to cena najwyższa ze wszystkich ropnych okręgów.

W okręgu Drohobyckim pracowało 4.597, t. j. 286 mniej niż w roku poprzednim. Otrzymano 6.424.726 c. m. ropy, t. j. 299.326 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość tej ropy wynosiła 16,309.359 k. t. j. 851.746 k. więcej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy za 1 c. m. wynosiła 2 k. 54 h. t. j. o 24 h. wyższa niż w roku poprzednim.

W okręgu Stanisławowskim zajętych było 266 robotników, t. j. o 103 robotników więcej niż w roku poprzednim. — Otrzymano 112.612 c. m. czyli 5.586 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość ropy wynosiła 355.692 k., t. j. o 19.171 k. mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy wynosiła 3 k. 16 h., t. j. zmniejszyła się o 1 h. za 1 c. m.

Okrąg górniczy	Robotnicy (wraz z dozorcami)					Wytwórczość				Wartość w koronach	Średnia cena za cetnar metryczny w miejscu wytwórczości
	Mężczyźni	Kobiety	Robotnicy młodociani	Dzieci	Razem	na nadanych miarach górniczych	na polach naftowych	Oprócz tego	Razem		
	Ilość					Cetnarów metrycznych					
	a) Ropa										
Jasielski	1.572	3	8	.	1.583	29.668	66.052	738.884	834.604	3.178.634	3 k. 81 h.
Drohobycki . . .	4.591	.	6	.	4.597	.	1.399.961	5,024.765	6,424.726	16.309.359	2 k. 54 h.
Stanisławowski .	266	.	.	.	266	.	2.079	110.533	112.612	355.692	3 k. 16 h.
Razem . .	6.429	3	14	.	6.446	29.668	1,468.092	5,874.182	7.371.942	19,843.685	2 k. 69 h.
W roku 1905 . . .	6.617	16	17	.	6.650	25.366	1.564.908	6,353.638	7,943.912	19,587.433	2 k. 47 h.
w porównaniu z r. 1906 { mniej	188	13	3	.	204	.	96.816	479.456	571.970	.	.
w porównaniu z r. 1906 { więcej		.		.	.	4.302	.	.	.	256.252	— 22 h.

Z powyższego zestawienia widzimy, że wytwórczość ropy w tym roku cokolwiek się zmniejszyła, że cena ropy poszła w dwu okręgach (Jasielskim i Drohobyckim) około 10% w górę, tylko w okręgu Stanisławowskim pozostała prawie bez zmiany.

Większą część otrzymanego surowca oddawano Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego „Petrolei“ lub innym handlarzom surowca. Z oddanego wprost do rafineryi surowca najwięcej przypadło na rafinerye galicyjskie. Oprócz tego wywożono ropę poza obręb kraju do: Drösing, Dziedzic, Florisdorf, Kolina, Kralup, Morawskiej-Ostrawy, Morawskiego-Schönbergu, Bogumina, Pardubic, Przerowa, Tryestu, Budapesztu, Rieki, Orsowy, dalej do rafineryi w górnych Węgrzech i do Niemiec.

Wydobywanie wosku ziemnego odbywało się w dwu okręgach górniczych. Przedsiębiorstw było ogółem 18, t. j. 5 mniej niż w roku poprzednim, z tych 10 w biegu, t. j. 5 mniej niż w roku poprzednim. Z przedsiębiorstw tych były 4 w okręgu Drohobyckim, a 6 w okręgu Stanisławowskim w biegu. W obu tych okręgach zatrudnionych było ogółem 2.258 robotników, t. j. 630 robotników mniej niż w roku poprzednim.

Wytwórczość wynosiła 26.982 c. m, t. j. 2.590 c. m. czyli 8·76% mniej niż w roku poprzednim. Wartość wydobytego wosku wynosiła 3.352.363 k., t. j. 779.203 k. czyli 18·86% mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena wosku była 124 k. 24 h. t. j. 15 k. 47 h. za 1 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Z liczb powyższych przypada na okrąg Drohobycki 1.746 robotników, t. j. 328 mniej niż w roku poprzednim i wytwórczość 22.099 c. m. t. j. 2.016 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość tej wytwórczości wynosiła 2.851.771, była zatem mniejszą niż w roku poprzednim o 711.853 k. Średnia cena wosku wynosiła 129 k. 05 h., t. j. była mniejszą niż w roku poprzednim o 18 k. 73 h. na 1 c. m.

W okręgu Stanisławowskim zajętych było 512 robotników, t. j. 302 mniej niż w roku poprzednim, wydobyto 4.883 c. m, wosku, t. j. 574 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość wydobytego wosku wynosiła 500.592 k., t. j. 67.350 k. mniej niż w roku poprzednim.

Średnia cena wosku wynosiła za 1 c. m. 102 k. 52 h., spadła zatem bardzo nieznacznie, bo tylko o 1 k. 56 h. na 1 c. m.

Jako powód tak znacznego obniżenia się wytwórczości wosku uważać należy zastanowienie kopalni wosku ziemnego „Grupy II.“

Tow. akcyj. „Borysław“ tudzież kopalni wosku „Concordia“ również w gminie Borysław.

Przetapianie wosku ziemnego odbywało się, jak w roku poprzednim, na miejscu, poczem sprzedawano go już, jako wytwór handlowy do fabryk cerazyny i parafiny w kraju i poza obrębem Galicyi. Do Niemiec, Rossyi, Francyi i do Ameryki wysłano 10.371 c. m., t. j. 3.753 c. m. więcej niż w roku poprzednim. W monarchii Austro-Węgierskiej przetopiono 4.000 c. m., t. j. 950 c. m. mniej niż w roku poprzednim.

Reszta w ilości 7.728 c. m. została jako zapas przy kopalniach wosku. W stosunku do roku poprzedniego zmniejszył się ten zapas o 4.819 c. m.

Koszta przewozu wosku w Borysławiu z kopalni do dworca kolei wynosiły 30 h za 1 c. m.

W okręgu Stanisławowskim przetopiono wosk wydobyty na miejscu, z czego wysłano 2.572 c. m. do Niemiec, a 2.311 c. m. oddano do fabryk krajowych. Wytwórczość ogólna ropy i wosku ziemnego czyli t. zw. bitumicznych minerałów wynosiła 7,398.924 c. m. była zatem o 574.500 czyli 7·21% mniejszą niż w roku poprzednim. Wartość jej wynosiła 23,196.048 k. t. j. była 522.951 k. czyli 2·20% mniejszą niż w roku poprzednim. We wszystkich kopalniach nafty i wosku ziemnego zajętych było 8.704 robotników, t. j. 834 mniej niż w roku poprzednim. Na jednego robotnika przypada zatem wytwórczość 850·06 c. m. wartości 2.664 k. 99 h. t. j. 14·09 c. m. = 178 k. 20 h. więcej niż w roku poprzednim.

Okrąg górniczy	Robotnicy (wraz z dozorcami)					Wytwórczość				Wartość w koronach	Średnia cena za cetnar metryczny w miejscu wytwórczości
	Mężczyźni	Kobiety	Robotnicy młodociani	Dzieci	Razem	na nadanych miarach górniczych	na polach naftowych	Oprócz tego	Razem		
	Ilość					Cetnarów metrycznych					
	b) Wosk ziemny										
Jasielski	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.
Drohobycki	1.678	22	46	.	1.746	.	11.792	10.307	22.099	2,851.771	129 k. 05 h.
Stanisławowski . .	512	.	.	.	512	.	3.228	1.655	4.883	500.592	102 k. 52 h.
Razem . .	2.190	22	46	.	2.258	.	15.020	11.962	26.982	3,352.363	124 k. 24 h.
W roku 1905 . . .	2.817	31	40	.	2.888	.	15.373	14.199	29.572	4.131.566	139 k. 71 h.
w porównaniu z r. 1906 mniej	627	9	.	.	630	.	353	2.237	2.590	779.203	15 k. 47 h.
w porównaniu z r. 1906 więcej	.	.	6	.	.	.	.	.	.	.	.

Do eksplotacyi ropy i wosku ziemnego zużyte zostały w r. 1906 następujące materyały:

1. Drzewo budulcowe za sumę			669.980 k.
2. Żelaza i stali 10,930.896 kg. wartości			7,650.330 „
3. Materyałów wybuchowych za sumę			2.474 „
4. a) Oleju rzepakow., nafty 79.415 kg.	za	34.160 k.	
b) Benzyny . . . . 13.881 kg.	„	7.405 „	41.565 „
5. Smarów 725.122 kg. wartości . .			304.763 „
6. Materyału opałowego do pędzenia kotłów i kuźni, a mianowicie:			
188.128 c. m. węgla kamiennego	„	561.386 „	
64.721 c. m. koksu	„	229.526 „	
2.390 c. m. węgla drzewnego . . .	„	7.791 „	
48.853 m³ drzewa opałowego . . .	„	297.642 „	
650.622 c. m. ropy	„	1,732.285 „	
20.589 c. m. cięższych olei	„	41.223 „	
Gazów, które przy eksplotacyi wosku ziemnego w samym okręgu Drohobyckim przedstawiają wartość	„	70.944 „	
139 c. m. benzyny	„	7.405 „	2,948.202 „
Razem spotrzebowano materyałów za sumę			11.617.314 k.

Spotrzebowano zatem mimo mniejszej w tym roku wytwórczości za 3,797.728 k. materyałów więcej niż w roku poprzednim. Powodu szukać należy w większem o 4,706.396 kg. zapotrzebowaniu żelaza, co wyniosło 3,064.344 k.

W tym roku było także zapotrzebowanie ropy, jako materyału opałowego o 243.636 c. m. większe niż w roku poprzednim.

Stosunki robotnicze były w każdym okręgu odmienne, jednak na ogół korzystne.

W okręgu Jasielskim pracowano przeważnie „na dniówkę“, przyczem płacono wiertaczom i pomocnikom wiertaczów t. zw. metrowe t. j. od metra przebitego otworu wiertniczego, albo dawano gratyfikacye po ukończeniu otworu wiertniczego.

Robotnicy dzienni otrzymywali na dniówkę 1 koronę.

Robotnicy dzienni zatrudnieni przy wierceniach rozpadali się na różne kategorye i mieli stosownie do ich uzdolnienia płace następujące:

Dozorca . . . . od 1 k. 20 h. do 10 k. — h.
Wiertacz . . . . „ 2 „ 70 „ „ 8 „ — „

Pomocnik wiertacza	od 1 k.	— h.	do	3 k.	— h.
Maszynista	„ 2 „	— „	„	7 „	— „
Majster kowalski	„ 2 „	— „	„	6 „	30 „
Pomocnik „	„ 1 „	— „	„	3 „	— „
Cieśla, tokarz, blacharz	„ 1 „	50 „	„	4 „	80 „
Zwyczajny robotnik dzienny	„ — „	80 „	„	2 „	60 „
Kobiety	„ — „	60 „	„	— „	— „
Robotnicy młodociani	„ — „	80 „	„	1 „	— „

Przy kopalniach nafty wynagradzano niektóre roboty w sposób akordowy i tak płacono: za wystawienie wieży wiertniczej wraz z przynależnymi budynkami 500 k. Za 1 m. wiercenia, aż do głębokości 750 m. 116 k. do 130 k, za czerpanie płacono 1 k. 60 h. od 1 c. m.

W roku 1906 wypłacono w tym okręgu zarobków:

Dozorcom	58.828 k.
Robotnikom	1,034.190 k.
Razem	1,093.018 k.

Wypłacono zatem o 68.622 k. więcej zarobku niż w roku poprzednim. Na głowę jednego dozorcy i robotnika przypadło w tym roku 690 k., t. j. 51 k. więcej niż w roku poprzednim.

Najwyższa ilość robotników w ciągu roku wynosiła 1.682, najniższa 1.474. Wszyscy robotnicy należeli albo do kasy chorych, albo też byli w robotniczym zakładzie ubezpieczeń od wypadków — zabezpieczeni.

Domów mieszkalnych robotniczych było ogółem 86 (wśród tych także baraki) z 235 mieszkaniami, gdzie miało pomieszczenie 108 robotników z rodzinami, a 258 nieżonatych z personalu dozorczego i robotniczego.

Robotnicy byli uzdolnieni, zręczni, zachowywali się spokojnie, prowadzili moralnie.

W okręgu Drohobyckim przedstawiały się stosunki robotnicze odmiennie. Na dniówkę płacono:

Dozorcy	od 2 k.	— h.	do	10 k.	— h.
Wiertaczowi	„ 2 „	80 „	„	10 „	— „
Pomocnikowi wiertacza	„ 2 „	— „	„	5 „	— „
Maszyniście	„ 2 „	80 „	„	6 „	— „
Majstrowi kowalskiemu	„ 2 „	40 „	„	6 „	50 „

Pomocnikowi kowalsk.	od	1	k.	--	h.	do	3	k.	80 h
Palaczowi	„	1	„	50	„	„	4	„	— „
Rzemieślnikowi . . .	„	1	„	60	„	„	6	„	— „
Robotnikowi placowemu	„	1	„	10	„	„	3	„	50 „
„ młodocian.	„	1	„	—	„	„	1	„	40 „

Prócz tego otrzymywał wiertacz i pomocnik wiertacza, czasem także palacz: metrowe, które w różny sposób było unormowane. Często także wypłacano pierwszą połowę ugodzonego miesięcznego wynagrodzenia najpierw, a drugą połowę później, t. j. dopiero po osiągnięciu pewnej głębokości otworu świdrowego n. p. 1.000 m. lub pewnej wydajności ropy.

Metrowe wynosiło zazwyczaj dla wiertacza 50 h. do 1 k., dla zwykłego robotnika 20 do 60 h. od 1 m. odwierconego. Oznaczano go także według pewnej skali głębokości *(Tiefenskala)* wywierconego otworu. Oprócz metrowego udzielano także gratyfikacye i premie; premie za wydatniejszą działalność przy wierceniu w ciągu miesiąca, za rurowanie, za instrumentowanie, ryczałtowe wynagrodzenie za nadzwyczajne wybuchy ropy, noworoczne i t. p.

Przy wybuchowych otworach świdrowych otrzymywali robotnicy miesięczne premie za ropę, a mianowicie: wiertacz 20 do 40 k.; pomocnik wiertacza 10 k. do 40 k., lub też dodatki do wynagrodzenia na dniówkę: dla wiertacza 2 k., dla pomocnika wiertacza 80 h. Premię za ropę wypłacano również w formie wynagrodzenia za cysterny (wiertacz 60 h. do 1 k., pomocnik wiertacza 30 h. do 50 h.), co szczególnie wtedy było w użyciu, gdy ropę dobywano pompami z otworów świdrowych. Tylko większe firmy wykonywały roboty w własnym zarządzie, przeważnie oddawano je przedsiębiorstwom. Przedsiębiorcom wiertniczym dawano za 1 m. wiercenia do głębokości 750 m. — 120 k. do 134 k.; do głębokości 850 m. — 150 k. do 190 k.; do 900 m. — 170 k. do 230 k., do 1.000 m. płacono: 190 k. do 260 k., a poniżej 1.000 m. głębokości płacono: 300 k.

Oprócz metrowego płacono także przedsiębiorcom wiertniczym premie za otrzymanie średnicy otworu świdrowego, aż do pewnej głębokości. Gwarancye dawano zazwyczaj do głębokości 850 m. także do 950 m.

W roku 1906 wypłacono w tym okręgu zarobków:

Dozorcom	1,398.248 k.
Robotnikom	3,418.606 „
Razem .	4,816.854 k.

T. z. wypłacono 63.187 k. zarobków więcej niż w roku poprzednim, czyli 1.048 k., t. j. 74 k. na głowę jednego robotnika więcej niż w roku poprzednim.

k. z.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.